

BIBLIOTEKA NARODOWA
WARSZAWA

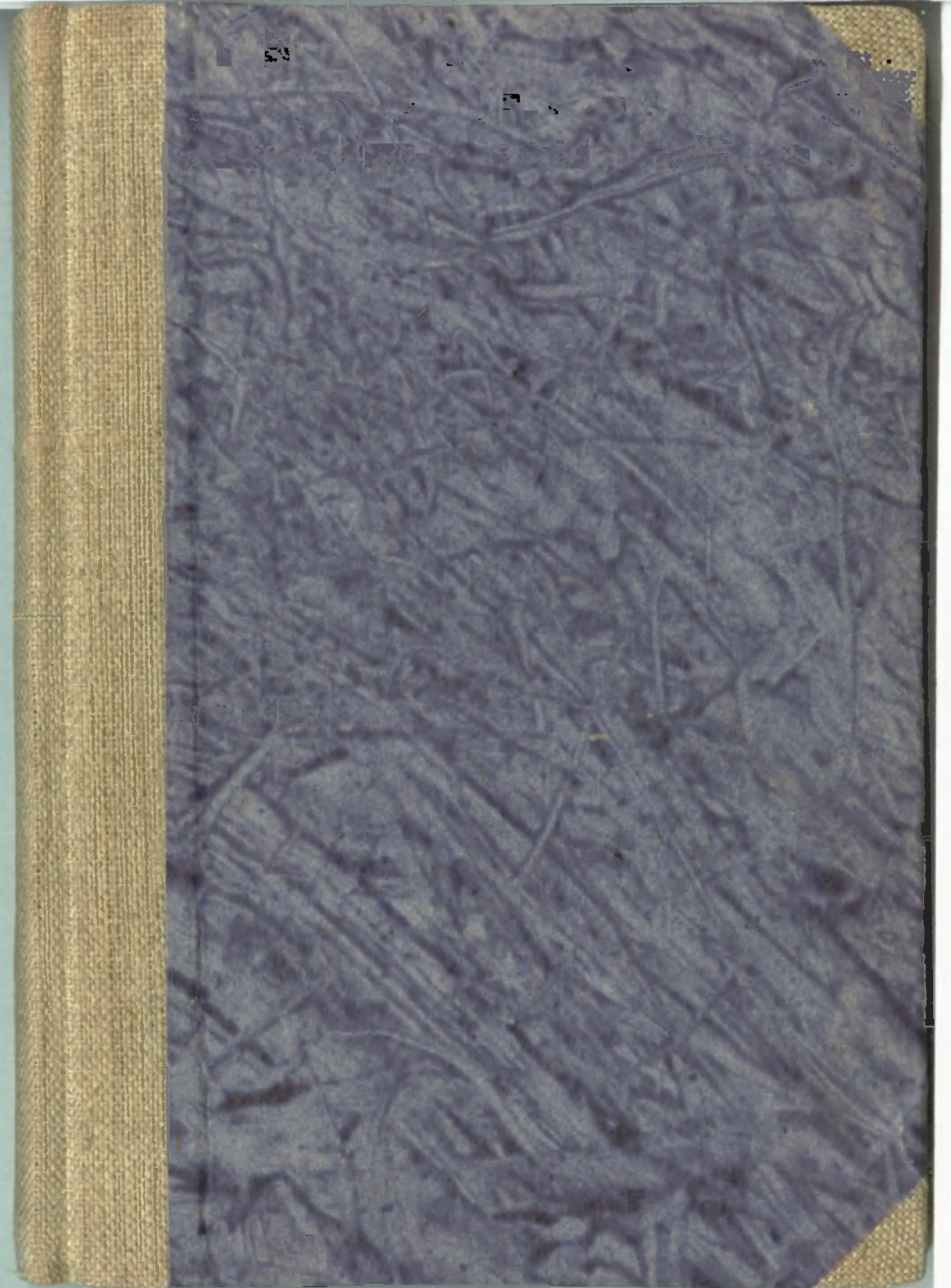
2004 r.

Prawo reprodukcji zastrzeżone
Copyright reserved

Gregorowicz J.: Pierwsza książeczka na gwiazdkę dla
dzieci wiejskich i miejskich...

Warszawa 1874. sygn. I.2.006.767 A

nr ID33567



12,006.767

L 15127

PIERWSZA KSIĄŻECZKA

NA GWIAZDKĘ .

DLA

DZIECI WIEJSKICH I MIEJSKICH

napisaną przez

J. K. GREGOROWICZA

z dodaniem wierszyków różnych autorów.

CENA KOP. 30.

WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi Przyjaciela Dzieci ulica Żabia Nr. 956

1874.

Kv. 15127

PIERWSZA KSIĄŻECZKA

NA GWIAZDKĘ

DLA

DZIECI WIEJSKICH I MIEJSKICH

napisana przez

J. K. GREGOROWICZA

z dodaniem wierszyków różnych autorów.

WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi Przyjaciela Dzieci ulica Żabia Nr. 956

1874.

I 15127

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава дня 2 Июли 1873 года.



12.006.767



W Drukarni F. Krokoszyńskiej, Krakowskie Przedmieście Nr. 40.

Do kochanych Dziełek.

Oto pierwsza książeczka dla was ukochane
działki, dana wam na Gwiazdkę.

Dawniej, ani o pisaniu podobnych książeczek,
ani o kupowaniu ich nikt nie pomyślał, bo mało
kto umiał czytać, a działki wychowywały się jak
dziczki w lesie, co je rosa obmywa, wiatr suszy,
a słońce przystraja. Dziś pragną wszyscy nauki,
nawet i wy się do niej chętnie garniecie; o czem
dowiedziawszy się, przygotowałem dla was tę
pierwszą książeczkę na Gwiazdkę, którą wasi Ro-
dzice i Opiekunowie, za pieniądze ciężko przez
siebie zapracowane, kupili i ofiarowali na poda-
runek. Jakże powinniście ich za to kochać i sza-
nować, że z uszczerbkiem swoim, pragną nieść
wam pożytek.

Ale czy wy wiecie, co to jest Gwiazdka, i dla
czego taka niespodzianka w książeczce, spotyka
was na Święta Bożego Narodzenia?

Posłuchajcie tylko uważnie, to wam to wytłomaczę.

Kiedy w Betleemskiej ziemi, w stajennym żłobku, objawił się światu w małym dzieciątku Jezus Chrystus przyszedł Zbawiciel świata, Syn jedyny Boga wszechmocnego, na niebie nad stajenką pokazała się gwiazdka, która błyszcząc cudownym światłem, ogłosiła światu radośną nowinę, oddawna przez Proroków przepowiedzianą.

Na jej widok, pastuszkowie olśnieni blaskiem, pospieszili powitać narodzone Dzieciątko i złożyć dary na jakie stać ich było. Wkrótce potem pospieszili trzej królowie z dalekiego Wschodu, w tym samym co i pastuszkowie celu, i padłszy na kolana ofiarowali Dzieciątku myrrę, złoto i kadzidło. W drodze wiodła ich gwiazda wskazująca kierunek aby się nie zablakali, więc gwiazda była wtedy i przewodniczką i głosicielką radości.

Chrześcianie co w Chrystusie Boga poznali, i Chrztem Świętym zmykali grzech pierworodny z jakim na świat przyszedł, wigilią dnia tak radośnie przepędzają corocznie z wielką pobożnością i cały dzień ścisły post zachowując, wieczorem jak pierwsza gwiazda pokaże się na niebie, winszując sobie, że w zdrowiu doczekali się obchodu pamięt-

ki tyle drogiej dla całego chrześcijaństwa. Pragnąc zaś lepiej jeszcze chwilę tę uprzytomnić, dzieciątkom swoim, jak pastuszkowie i królowie Chrystusowi, tak oni im dają różne podarunki, i nazywają je darami na Gwiazdkę, aby jak gwiazdka niegdyś światu, tak im przyniosły radość i stały się przewodniczkami ich postępowania. Zwykle też między temi podarunkami mieszczą się książki umyślnie w tym celu przygotowane, aby je dzieci czytając rosły w miłości i bojaźni Boga, i nabywały coraz więcej nauki. Dar podobny jak powiedziałem, pierwszy raz w tej książeczce otrzymujecie, ucałujcie więc ręce co go wam podały, błogosławione one i błogosławiona miłość co niemi kierowała. Wiele zaś razy znajdować się będziecie w kościele, ujrawszy obraz Matki Boskiej piastującej na ręku Dzieciątka Jezus, padnijcie na kolana, i przejęci wdzięcznością, powiedzcie w myśli swój:

Panie! przyjmij nasze dzięki i błogosław naszej pracy, nauce i postępowaniu, abyśmy wyrósłi na pobożnych i poczytych ludzi, na pociechę i radość Rodziców i Opiekunów, a to za wstawieniem się Twojem Najświętsza Bogarodzico, Matko Boża pełna łaski i miłosierdzia.

Książeczkę tę, odczytajcie z uwagą, zastanówcie się pilnie nad wszystkim co się w niej mieści, starajcie się to zachować w pamięci i tak robić jak radzi. Po każdym zaś odczytaniu z niej jakiego kawałka, schowajcie ją troskliwie żeby się nie zniszczyła, bo choć ona nie droga, ale bardzo wiele kosztowała pracy ludzkiej, zanim się do waszych rąk dostała. Kto zaś pracy takiej nie szanuje, nie może być dobrym człowiekiem. Bo tylko rozważcie ukochane dzieci.

Aby książeczkę taką zrobić, trzeba było ją napisać, wydrukować, rysunkami ozdobić, a potem oprawić w ładną okładkę. Na dokonanie tego wszystkiego zaledwie rok czasu wystarczył, a co to ludzi przytem pracowało!

Wydrukowana jest ona jak wiecie na papierze, a z czegoż on zrobiony został? Papier robi się ze szmat płóciennych, zniszczonych, podartych, które w domu na nic się już nie przydadzą. Zbierają je ludzie po wsiach, po miastach, wyszukują w śmietnikach, po drogach, ulicach i różnych zaułkach. Nazywają ich powszechnie gałganiarzami, że chodzą za gałganami i wielkie ich taboły noszą na plecach; niektórzy naśmiewają się z nich, gdy psy ich opadną z wielką złością

i szczekaniem, nie zawsze obronią, a czasem nawet i ręki podać nie chcą.... nie róbcie tego nigdy! Każdy człowiek jak tylko pracuje, godzien szacunku i poważania, choćby go nawet biedne k.ryły łachmany. Gałganiarze także pracują a pożytek z nich wielki, bo gdyby nie oni, nie byłoby z czego zrobić papieru i książeczka którą trzymacie, nie byłaby w waszem ręku.

Szmaty te płócienne zaniezione do fabryki, czyszczą, piorą, potem rozmiążdżają na papkę, rozlewają na ramy drutem wplecione, a gdy woda z nich obsączy się, zdejmują już gotowe arkusze, suszą je, układają jedne na drugich i dopiero oddają do drukarni. A w drukarni jaka to mozolna robota, zanim przysposobi się to, co ma być na tym papierze wydrukowane.

Litery co je widzicie odbite na nim, są lane z różnych połączonych metalów, i nazywają się czcionkami: czcionki te po jednej literze składa pracownik zwany zecerem, według rękopismu który ma przed sobą ustawia je przy sobie, wyraz od wyrazu oddziela, układa wiersze i gdy złoży na cały arkusz, musi poprawić wszystkie błędy raz, drugi i trzeci, i potem oddaje do dalszej pracy. Arkusz druku tak przygotowany idzie dopiero do

łoczni czyli maszyny zwanęj prasą drukarską, tak urządzonej, że wprowadzona w ruch, sama namazuje czcionki farbą, chwytą podawane jej arkusze papieru, układa je na czcionkach, przyciska aby się te odbiły, potem papier wydrukowany wysuwa na drugą stronę i znowu z innymi arkuszami to samo dopełnia. Papier ten jednak zanim użyty zostanie do druku, musi być zwilgocony, a po wydrukowaniu na nim, wysuszony, wyprasowany, co gdy się dopełni i cała książka została wykończoną, oddaje się dopiero do intro-
ligatora.

Ten, każdy arkusz musi złożyć na tyle części, ile z niego kartek ma być zrobionych, później zszyć je, razem połączyć, obciąć, wyrównać, dać na wierzchu okładkę, i ozdobić ją stosownie.— Z rysunkami równie mozolna praca. Najprzód stolarz przykrawa z drzewa bukszpanu, rosnącego w bardzo dalekich krajach, tabliczki całowój grubości, a wielkości takiej jak ma być rysunek. Tabliczki te równo obrobione, bez sęków i miejsc włóknistych, wygląda po jednej stronie i oddaje rysownikowi.

Rysownik gładką stronę pociąga farbą białą i wyrysowawszy na niej ołówkiem obrazek, odda-

je znów tak zwanemu drzeworytnikowi, który rylcami rozmaitej wielkości, wszystkie miejsca nie naznaczone ołówkiem wybiera delikatnie, jak najrówniej, i stara się aby najmniejszej, najdelikatniejszej kreseczki nie przeciął, nie ściał rylcem i obrobił jak należy. Praca to bardzo zmu-
dna, wymagająca wielkiej pilności, cierpliwości, i gdy ma być dobrze zrobiona, to nad jednym obrazkiem co zostały w książeczce umieszczone, musi przysiedzieć bez żadnej przerwy, dwa dni, trzy, cztery, a nawet i więcej.

Drzeworyty później oddają się do drukarni, umieszczają pomiędzy drukiem, razem z nim idą pod tłocznia, a że cały rysunek na nich przez wybranie białego drzewa staje się wypukły, więc namazany farbą odbija się w książeczce i tym sposobem zdobią ją rysunkami. Widzicie więc co tu ludzi musiało pracować, zanim książeczka została wykończoną. Ileż to rąk krzątało się, ile głów mozoliło nad jej przygotowaniem! Z każdej kartki, z każdej nawet litery, dałoby się wycisnąć kropla potu wysiłku ludzkiej pracy, dla waszego dobra podjętej.

Jakże więc szanować powinniście darowaną wam książeczkę, jak starać się aby przechowana

troskliwie nie tylko dla was, ale i dla młodszych waszych siostrzyczek i braciszków nosła zabawę i pożytek. Nie zapominajcie nadto, że wprzód jeszcze przed drukiem, musiała być obmyślana i napisana, a i to niemało wymagało czasu. Żeby książeczkę taką napisać, trzeba umieć to zrobić, czego ludzie uczą się nieraz długie lata, i jeszcze nie zawsze nauczyć się tego potrafią. Ten co ją wam napisał, od małego dziecka przyspasał się do tego uczeniem, i po latach dopiero przeszło czterdziestu, ciągle się ucząc i czytając, zabrał się do jęj napisania, nie będąc jeszcze pewnym czy to dobrze dokonał.

Jeżeli się mu nie udało, to przy Boskiej pomocy na przyszły rok napisze wam może lepszą i ciekawszą, dziś przyjmijcie chętnie co wam daje, co mu podyktowało serce gorąco was kochające. Jeżeli go zaś równie ukochacie i w myśli swęj powiecie: Bóg ci zapłać pracowniku za napisaną książeczkę!—będzie to dla niego najmiłszą nagrodą, jakiej większej już na ziemi nie pragnie.

Modlitwa Pańska.

Ojcie nasz! któryś jest w Niebie,
Ojcie ludzi, błagam Ciebie,
Ja z grzeszników najmniejszy,
Boże, Ojcie najmocniejszy,
Niechaj Imię Twoje będzie,
Wielbione i czczone wszędzie.

Dusze nasze w białej szacie,
Niechaj przy Twym Majestacie,
W królestwie Twem przy aniołach,
Siędą z jasnością na czołach.
Jak na ziemi tak i w Niebie,
Niech zawsze słuchają Ciebie.

Niechaj wola Twoja wszędzie,
Święcie wykonaną będzie.
Powszedniego daj nam chleba
Ile na dziś nam potrzeba,
Bo jutro wieczny nasz Panie!
Nie wiem co się z nami stanie.

Miłosierdzie Twoje wielkie,
Więc Cię proszę winy wszelkie
Chociaż mnogie, odpuść Panie!
Usłysz grzesznika wołanie!
A my o Panie bez zmyzy
Zapomnim wzajem urazy!

Nie wódz nas na pokuszenia,
Bo my nędzni ze zmęczenia
Walką z czartem, z pokusami,
Padniem pod temi ciosami.
Owszem Panie nas Przedwieczny!
Prowadź gdzieś krok niebezpieczny. Amen.

Zbawiciel Świata.

Wiecie już, że Bóg sześć dni stwarzał świat a siódmego odpoczął, że pierwszego człowieka Adama osadził w raju, dał mu za towarzyszkę Ewę, pozwolił używać wszelkich rozkoszy, władać wszystkimi zwierzętami, by się tylko nie dotknęli owocu z drzewa wiadomości złego i dobrego. Przełamali ten rozkaz Boski i to był grzech pierwszy człowieka, zwany pierworodnym, z którym każdy przychodzi na świat i dopiero przez Chrzest święty uwolnionym z niego zostaje.

Ale zanim ludzie tą łaską Boską obdarzeni zostali, zeszło lat bardzo wiele, a grzech obciążający ich rozrodził się w wieloliczne inne grzechy, i ludzie tak się popsuli, że Bóg postanowił ich wytracić i spuścił z przestrzeni niebieskich potoki

wody, które całą ziemię zalały. W pośród tej ogólnej zagłady ludzi i zwierząt, Bóg ocalił tylko jednego cnotliwego Noego z całą jego rodziną, który w wybudowanym wielkim korabiu zwanym Arką, pomieścił po parze wszystkich zwierząt i ptastwa, i tym sposobem po opadnięciu wód, świat na nowo i ludźmi i zwierzętami wypełniony został.

Grzech jednak pierworodny nie zniknął, i złe znowu rozpleniło się między ludźmi i tak opanowało świat cały, że rozpacz ogarnęła wszystkich. Bóg litując się nad nędzą ludzką, zesłał wówczas na świat drugą Osobę Trójcy Świętej, Jezusa Chrystusa poczętego z Ducha Świętego, aby skruszył kajdany niewoli ducha i wskazał mu drogę do zbawienia. Pismo Święte ten objaw miłosierdzia Boga opisało ze wszystkimi szczegółami, co wam w treści poniżej podajemy.

Onego czasu, powiada Pismo Święte, posłany został anioł Gabryel do miasta Nazaret, do dziewicy Maryi poślubionej Józefowi. Anioł wszedłszy do Niej, rzekł: Bądź pozdrowiona łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami. Usłyszawszy te słowa Marya, zatrwożyła się i myślała sobie, coby znaczyło to pozdrowienie? A anioł rzekł jeszcze: Nie bój się Maryo, albo

wiem znalazłaś łaskę u Boga. Oto porodzisz syna i nazwiesz Imię jego Jezus. Ten będzie wielkim i będzie nazwanym Synem Najwyższego, da mu Bóg stolicę Dawida, będzie królował w domu Izraela na wieki i królestwa Jego nie będzie końca.

A Marya rzekła do anioła: Jakoż się to stanie?

A anioł odpowiedział: oto Duch Święty zstąpi na Ciebie, przeto też co porodzisz będzie święte i nazwane Synem Bożym.

A na to rzekła Marya: Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa Twego.

Kiedy więc wyszedł rozkaz cesarza Augusta aby spisano wszystkich mieszkańców ziemi, szli wszyscy każdy do miasta swego aby ich zapisano. Szedł też i Józef do miasta Betleem razem z Maryą, a gdy tam znajdowali się, spełniły się przepowiednie Proroków, i Marya porodziła syna pierworodnego, owinęła go w pieluszki i położyła w żłobie, bo miejsca dla nich nie było w gospodzie. A byli pasterze w tejże krainie czuwający nad trzodami swemi. I oto nagle anioł stanął wśród nich, jasność Boża zewsząd ich oświeciła i ulękli się wielką bojaźnią, ale anioł rzekł:

Nie bójcie się, oto oznajmiam wam wesele

wielkie, które będzie radością wszelkiemu ludowi. Narodził się wam dziś Zbawiciel, który jest Chrystusem. Daję wam znak, po którym go poznacie: znajdziecie Niemowlątko owinięte w pieluszki i położone w żłobie.

I natychmiast złączyło się z aniołami wiele zastępów niebieskich, chwalcących Boga i mówiących:

Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

Skoro aniołowie odeszli od pasterzy do nieba, pasterze mówili jeden do drugiego: pójdźmy do Betleem a oglądajmy to słowo, które się stało i które nam Bóg oznajmił.

I poszli spiesząc się i znaleźli Maryą i Józefa i Niemowlątko leżące w żłobie. A zobaczywszy uznali prawdę słowa, które im powiedziane było o Dzieciątku, i wszyscy którzy to słyszeli dziwili się temu co im pasterze mówili. I wrócili się pasterze wysławiając i chwalcąc Boga ze wszystkiego, co słyszeli i widzieli jako im było powiedziane.

Skoro się narodził Jezus w Betleem za panowania króla Heroda, oto mędrcy ze Wschodu przyszli do Jerozolimy, pytając:

Gdzie jest który się narodził król Żydowski? Widzieliśmy bowiem gwiazdę jego na Wschodzie i przybyliśmy pokłonić się Jemu.

Gdy to usłyszał Herod, zatrwożył się, a zebrawszy arcykapłanów i doktorów ludu, dowiadywał się od nich, gdzie się miał narodzić Mesyas?

A oni mu odpowiedzieli:

W Betleem Judzkim.

Wtedy Herod wezwawszy tajemnie mędrców, pilnie wywiadywał się o czasie, kiedy się im gwiazda pokazała? i posławszy ich do Betleem, rzekł:

Idźcie i wywiadujcie się pilnie o Dzieciątku, a gdy znajdziecie, oznajmcie mi, ażebym i ja przybywszy pokłonił się Jemu. Mędrcom wysłuchawszy go pojechali, a gwiazda którą widzieli na wschodzie prowadziła ich, aż stanęła nad miejscem gdzie było Dzieciątko. Ujrawszy tedy gwiazdę uradowali się bardzo, a wszedłszy w dom, znaleźli Dzieciątko z Maryą Matką Jego, i upadłszy pokłonili się Jemu. Otworzyli potem skarby swoje, i ofiarowali Mu dary, złoto, kadzidło i myrę. Napomnieni zaś we śnie, aby nie szli do Heroda, inną drogą wrócili do krainy swojej.

Ale Herod widząc że trzej mędrcomie nie

wracają do niego jako obiecali, rozgniewał się bardzo, powziął podejrzenie i aby zatracić Tego o kim mu powiedziano, kazał pozabijać wszystkie dzieci liczące mniej niż dwa lata, które były w Betleem i po wszystkich jego granicach. Wówczas ukazał się anioł we śnie Józefowi, mówiąc:

Wstań, weźmij Dzieciątko i Matkę Jego, nciecz do Egiptu. Józef spełnił ten rozkaz, i powrócił dopiero z Egiptu do Nazaretu, gdy Herod umarł.

Tymczasem Dziecię Jezus umacniało się napełnione mądrością, a łaska Boża była w Niem. On się rósł w łasce Boga i ludzi, we wszystkim posłuszny swoim Rodzicom. Kiedy doszedł do lat trzydziestu, przyszedł Jezus z Galilei nad Jordan do Jana, aby był ochrzczony od niego. A Jan nie chciał dopuścić tego, mówiąc:

Ja potrzebuję być ochrzczonym od Ciebie, a Ty idziesz do mnie?

A Jezus rzekł mu:

Zaniechaj teraz, albowiem tak nam się godzi wypełniać sprawiedliwość.

Spełnił tedy Jan rozkaz Chrystusa, a gdy Jezus był ochrzczony i występował z wody, otworzyły się niebiosa i widział Jan Ducha Bożego

zstępującego nań jako gołębicą, a głos w obłokach mówił:

Ten ci jest syn mój miły, którego sobie upodobałem! Chrystus w kazaniach jakie miał do ludu, powiadał:

Naśladujcie mnie który jestem pokorny i cichy, a dusze wasze odpoczynek znajdą. Błogosławieni ubodzy duchem, cisi, którzy płaczą, cierpią przesładowanie i łakną sprawiedliwości, albowiem będą nasyceni. Błogosławieni miłosierni, albowiem miłosierdzia dostąpią, błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają, błogosławieni pokój czyniący, albowiem nazwani będą synami Bożymi. Każdy który się gniewa na brata swego, będzie winien sądu. Jeśli ofiarujesz dar swój do ołtarza, a tam wspomnisz, iż brat twój ma żal do ciebie, zostaw dar a idź pojednać się z bratem swoim. Nie przysięgajcie nigdy a mowa wasza będzie: jest—jest, nie—nie. Dawniej uczono was: oko za oko, a ząb za ząb, a ja wam powiadam, miłujcie nieprzyjacioly swoje, dobrze czynicie tym którzy was mają w nienawiści, a módlcie się za tych co was przesładują, abyście byli dziećmi Ojca waszego w niebiesicich, który czyni że słońce jego wschodzi na złych i dobrych.

Strzeżcie się robić dobrze dla tego, aby was chwalonono. Owszem, róbcie dobrze w tajemnicy, aby lewica nie widziała co robi prawica. Nie sądzicie drugich, nie potępiajcie, nie spotwarzajcie, bo łatwiej dojrzeć źdźbło w oku cudzem, jak belkę we własnem, a jakim sądem drugich będziecie sądzić, takim i wy zostaniecie osądzeni. Czyńcie dobrze niczego się za to nie spodziewając, a cokolwiek pragnęlibyście aby wam ludzie zrobili, i wy im to róbcie.

Naukę tę daję wam, abyście się społecznie miłowali, jakom ja was umiłował. Po tem poznają wszyscy żeście uczniami moimi, jeżeli się kochać będziecie wzajemnie. Przyjdzie Syn człowieczy w majestacie swoim na sąd ostateczny, i rzeknie tym, którzy będą po prawicy jego:

Łaknałem a daliście mi jeść, pragnałem a napoiłście mnie: byłem gościem a przyjęliście mnie: byłem w więzieniu a przyszliście do mnie: pójdźcie więc błogosławieni Ojca mego, otrzymajcie królestwo wam zgotowane.

Tak rozrzuwającą naukę jakiej świat jeszcze nie słyszał, głosząc Chrystus pociągał do siebie mnogie rzesze ludu, spragnionego pociechy i wskazówek dla swego zbawienia. Otoczony dwu-

nastu uczniami z rybaków i ubogiego stanu wybranymi, przyspasabiał ich na przyszłych apostołów, aby naukę jego rozkrzewiali po całym świecie. I słuchano jęj wszędzie z uwielbieniem, czwiono się cudom Chrystusa, prozono o chrzest oczyszczający duszę z grzechu pierworodnego, i życie ludzkie zdało się mniej ciężkie, bo po za jego troskami i bólami uśmiechało się nadzieją wieczności, w której szczęście każdy zdobyć może własną zasługą.

Ale nauka ta choć tak prosta i pełna miłości, nie podobała się złym i zatopionym w rozkoszach świata. Ucząc cnoty, pocziwego życia, prawdy i sprawiedliwości, strofowała niejako grzeszników i wręcz im mówiła że błądzą, i że winni myśleć o poprawie. Zaczęli więc powstawać przeciw Chrystusowi i czekać sposobności, aby go zgubić i wydać na zatracenie. Chrystus poznawszy to zaślepienie złych, pragnąc przekonać, że posłannictwo Jego zmierza jedynie do obudzenia w sercach miłości, połączenia wszystkich jednym węzłem braterstwa, aby na całym świecie zapanował pokój i ogólne dobro pełne błogosławieństwa, według zwyczajów dawnych sędziów Izraela wjechał na osle do Jeruzalem, a na przeciw Niego

wyszło mnóstwo ludu, i jedni ślali szaty swoje na drodze, drudzy obcinali gałęzie drzew i rzucali, a wszyscy którzy za Nim i przed Nim szli, wołali: Hosanna Synowi Dawidowemu! błogosławiony który idzie w imię Pańskie! Hosanna na wysokościach!

Pamiętkę dnia tego uroczystego, kościół obchodzi w niedzielę tak zwaną kwietnią, po której zaraz rozpoczyna się Wielki tydzień, w jakim nastąpiło umęczenie Chrystusa i Jego Zmartwychwstanie.

Na drugi też dzień po wjeździe do Jerozolimy, Jezus przyszedł do Betanii, kędy mieszkał Łazarz którego przedtem zmarł go wskrzesił i tam mu sprawiono wieczerzę. Łazarz siedział razem z Chrystusem przy stole, a Marta wzięwszy funt oleju pachnącego bardzo drogiego, namazała nogi Chrystusa i otarła swojemi włosami, tak, iż dom cały napelnił się wonnością. Widząc to Judasz Iskarjot jeden z dwunastu uczniów Chrystusa, rzekł:

Czemu tego oleju nie przedano za trzysta groszy i nie rozdano ubogim?

A Jezus rzekł:

Dajcie jęj pokój, niech na dzień mego po-

grzebu resztę zachowa. Albowiem ubogich zawsze z sobą macie, a mnie nie zawsze.

Wielkanoc była uroczystem świętem u Hebrajczyków, obchodzili ją na pamiątkę dnia, w którym Bóg wyzwolił ich z jarzma niewoli. Zwykle też rodziny zasiadały do stołu i zaczynały wieczerzę od gorzkiej sałaty, zaprawionej octem i czerstwego chleba, na pamiątkę cierpień doznawanych w niewoli. Później następowała wielka radość i uczta obfita, a głowa rodziny łamał praśniki i rozdzielał między biesiadników.

Kiedy więc przybliżał się dzień pasznic, zwany Wielkanocą, arcykapłani myśleli o tem jakby zabić Chrystusa, ale się bali ludu. Lecz wszedł zły duch w Judasza, którego zwano Iskarjotem, i ten zmówił się z arcykapłanami jako im wyda Mistrza swego. Uradowali się wielce i postanowili dać mu pieniędzy, a on szukał tylko sposobności, aby spełnić swoje przyrzeczenie.

W dzień pasznic w którym potrzeba było zabić baranka Wielkanocnego, posłał Jezus Piotra i Jana, mówiąc:

Idźcie i przygotujcie baranka abyśmy go pożywali. A oni rzekli:

Gdzie chcesz abyśmy go przygotowali? A Chrystus odpowiedział:

Oto gdy wnijdziecie do miasta, spotka się z wami człowiek niosący dzban wody, idźcie za nim do domu w który wejdzie, i powiedźcie gospodarzowi: Nauczyciel się pyta, gdzie jeść będzie baranka z uczniami swoimi? A on wam ukáže wielki wieczernek, ozdobny, i tam wszystko przygotujcie.

Uczniowie przeto poszedłszy, znaleźli jako im powiedział Jezus, i przygotowali baranka. A gdy przyszła godzina uczy, usiadł i dwunastu apostołów z Nim, i tak im powiedział:

Wielkiem pragnieniem żądałem pożywać tego baranka z wami, pierwiej niżbym cierpiał.

I wzięwszy chleb czynił dzięki, łamał i dawał im, mówiąc:

„Toć jest ciało moje, które się za was daje, czyńcie to na pamiątkę moją. Także wzięwszy kielich, dzięki czynił i podawał im, mówiąc:

„Pijcie z tego wszyscy, albowiem to jest krew moja, krew nowego zakonu, która za was i wielu wylaną będzie dla odpuszczenia grzechów.”

Potem odprawiwszy wieczerzę, złożył szaty swoje, a wzięwszy białą chustę, przepasał się, na-

łał wody do miednicy i umywał nogi uczniom, a chustą którą się przepasał, obcierał. Gdy skończył, wziął znowu na siebie szaty swe i rzekł:

Rozumiecież znaczenie tego com uczynił? Wy nazywacie mnie Nauczycielem i Panem i dobrze mówicie, bom ci nim jest. Jeżeli zaś ja Pan i Nauczyciel wasz umyłem nogi wasze, tedy i wy jedni drugim służyć powinniście. Działki moje już krótko z wami będę. Przykazanie nowe daję wam, abyście się wspólnie miłowali, jakom ja was umiłował. Po tem poznają wszyscy żeście uczniami moimi, jeżeli jeden ku drugiemu miłość mieć będziecie. Jeżeli mnie miłujecie, wypełniajcie przykazania moje. Kto słuca przykazań moich i pełni je, jest tym który mnie miłuje, a kto mnie miłuje, będzie go miłował i Ojciec mój i ja go umiłowię i objawię mu siebie samego.

Tak rozmawiając długo z uczniami, gdy już była noc, wstał i wyszedł z niemi za potok Cedron gdzie był ogród. Tam rzekł uczniom:

Zostańcie tu a ja się będę modlił.

A postąpiwszy trochę, padł na oblicze swoje, modlił się i mówił:

Ojciez mój jeżeli można, niechaj odejdzie ode-

mnie ten kielich, wszakże nie jako ja chcę, ale jako Ty.

I modląc się w takiej był ciężkości na widok przyszłej męki, iż pot Jego jako krople krwi spadał na ziemię. Po chwili powstał, przyszedł do uczniów, a zastawszy ich śpiących, rzekł:

Jakże nie mogliście jednej godziny czuwać ze mną? Czuwajcież a módlcie się, abyście nie weszli w pokusę. Duch człowieka ochotny jest wprawdzie, ale ciało mdłe. I odszedł znowu i modlił się, a gdy trzeci raz wrócił do uczniów i trzeci raz zastał ich śpiących, rzekł:

Wstańcie, oto się zbliża ten który mnie wyda.

A gdy jeszcze wyrazów tych domawiał, Judasz jeden z dwunastu przyszedł, a z nim wielka rzesza ludzi z mieczami i kijami, posłanych od arcykapłanów i starszych ludu. Judasz zaś im rzekł:

Którego ja pocałuję, ten ci jest, imajcie go.

I przystąpiwszy ku Jezusowi, rzekł: Bądź pozdrowion Mistrzu! i pocałował go, a Jezus odrzekł:

Przyjacielu na coś przyszedł? a obróciwszy się ku rzeszy zbrojnej, mówił:

Wyszlście na przeciw mnie jako na złoczyń-

cę; wszak każdego dnia uczyłem w kościele a nie pojmaliście mnie? Aleć to jest godzina wasza i moc ciemności.

Rzesza zbrojna nie zważając na słowa Chrystusa, porwała Go i związała powrozami, a uczniowie wszyscy opuścili Jezusa, uciekli.

Pojmanego Chrystusa, zawiedziono najprzód do Annasza, który był świekrem Kaifasza arcykapłana; ten pytał się o Jego uczniów i o naukę. Jezus odpowiedział:

Jawnie opowiadałem ją światu, uczyłem w kościele; w skrytości nic nie mówiłem. Czegóż tedy mnie pytasz? Pytaj tych, którzy słuchali com mówił.

Gdy te słowa kończył, jeden ze służebników tam stojący dał mu policzek, mówiąc:

Tak odpowiadasz arcykapłanowi?

A Jezus rzekł:

Jeżeli źle powiedział, daj świadectwo o złem, lecz jeżeli dobrze, czemu mnie bijesz? A Annasz odesłał Go związanego do Kaifasza. Od Kaifasza zaprowadzono Go na ratusz. Ponieważ było już rano, lud więc nie poszedł do domu, aby się nie zmazali przed spożyciem baranka wielkanocnego, ale Piłat wyszedł na podwórze i spytał się:

Jakaż skargę przynosicie przeciw temu człowiekowi?

Oni mu odpowiedzieli:

Gdyby nie był złoczyńcą, nie podalibyśmy Go tobie.

Weźcież go więc, rzekł Piłat, i osądźcie według waszego zakonu.

Nam się nie godzi zabijać, powiedzieli.

Przeto wszedł Piłat do ratusza, wezwał Jezusa i rzekł Mu:

Tyś jest królem żydowskim?

Czy sam od siebie to mówisz? zapytał Zbawiciel, czy insi powiedzieli ci to o mnie?

Wiesz o mnie, odrzekł Piłat, naród Twój i arcykapłani oddali mi Ciebie. Cóżes więc uczynił?

Królestwo moje, odrzekł Jezus, nie jest z tego świata, gdyby takowem było, słudzy moi broniliby mnie abym nie był wydany, ale królestwo moje gdzieindziej.

To więc królem jesteś? zawołał Piłat.

Tak jest, odpowiedział Chrystus, na tom przyszedł na świat aby dać świadectwo prawdzie. Wszelki który jest z prawdy, słucha głosu mego.

I Piłat wyszedłszy do ludu tak im powiedział. Żadnej winy w nim nie znajduję, a ponieważ

jest zwyczaj wypuszczania jednego winowajcy na Wielkanoc, chcecie, wypuszczę wam króla żydowskiego.

Nie chcemy tego, krzyknęli wszyscy, ale Barabasa.

A Barabasz był zbrojca. Wtenczas Piłat kazał wiaść Jezusa i biczować Go, a żołnierze splótszy koronę z ciernia, włożyli Mu na głowę, i oblekli w płaszcz szkarłatny, a potem przybliżywszy się do Niego, dawali mu policzek, mówiąc:

Witaj królu Żydowski!

Piłat potem wyszedł przed ratusz i powiedział do ludu:

Oto stawiam Go tu wam, abyście poznali że w Nim winy nie znajduję.

I wyprowadzono Jezusa w koronie cierniowej i płaszczu szkarłatnym, a Piłat rzekł:

Oto człowiek!

Ale gdy ujrzeni kapłani i ich służebnicy, zaczęli wołać:

Ukrzyżuj Go, ukrzyżuj!

Piłat rzekł na to:

Weźcie Go i ukrzyżujcie, bo ja w nim winy nie znajduję.

Myć zakon mamy, krzyknął lud, według

którego umrzeć powinien, bo synem Bożym się uczynił.

Gdy Piłat usłyszał te słowa, przeląkł się bardzo, a wszedłszy do ratusza, spytał Jezusa:

Zkądżeś Ty jest?

Lecz Jezus nie dał mu odpowiedzi. Rzekł

Mu tedy Piłat:

Nie mówisz ze mną? Czy nie wiesz że mam moc ukrzyżować Cię lub wolnym uczynić?

Nie miałbyś żadnej mocy nade mną, rzekł Jezus, gdyby z góry dana ci nie była. Przeto ten, który mnie wydał tobie, większy grzech ma.

Odtąd Piłat starał się uwolnić Jezusa, ale lud wołał:

Jeżeli Go wypuścisz, nie jesteś przyjacielem cesarskim. Każdy bowiem co się czyni królem, sprzeciwia się cesarzowi.

Piłat usłyszawszy te mowy, wywiódł raz jeszcze Jezusa przed ratusz i zasiadł na stolicy sądowej, a była właśnie pora przygotowania wielkanocnego baranka, szósta godzina dnia. Rzekł tedy do ludu:

Oto król wasz!

A oni wołali:

Strać Go, strać!

Królaż waszego mam ukrzyżować? zapytał się.
Nie znamy króla tylko cesarza! wołali.

Wtedy Piłat umywszy ręce na dowód, że nie chce mieć żadnego udziału w rozlewie krwi Jego, o którego niewinności mocno był przekonany, wydał Go im na ukrzyżowanie. Wzięli tedy Jezusa i wywiedli za miasto. Zmęczonemu, krwią i potem zlanemu, kazali dźwigać krzyż, na którym miał być przybity. Szło za Jezusem niezmierne mnóstwo ludu i niewiast wiele, które płakały nad Nim i wyrzekały. Widząc to Jezus obrócił się ku nim i rzekł:

Córki Jerozolimskie! nie płaczcie nade mną, ale nad sobą i nad dziećmi waszemi, płaczcie.

Gdy przyszli na miejsce które zwano Kalwaryą, ukrzyżowali Go i z Nim dwóch łotrów. A Jezus wisząc na drzewie modlił się:

Ojcze! odpuść im bo nie wiedzą co czynią.

Nad krzyżem było napisanem:

Jezus Nazareński Król Żydowski.

A żołnierze którzy Go ukrzyżowali wzięli szaty Jego, podzielili się niemi, a suknią nie szatą rzucili na los, żeby się wypełniły te słowa pisma:

Podzielili sobie szaty moje, a suknię moją rzucili na los.

Lud przez nieprzyjaciół Jezusa uwiedziony, z ich poduszczenia stał w okolo patrząc i naśmiewając się, i wielu mówiło: Wybawiał drugich, niechże sam siebie wybawi!

Nawet jeden z wiszących łotrów uragał Mu, mówiąc:

Jeżeliś jest Chrystus, wybawże siebie i nas.

Drugi zaś fukał go i mówił:

Boga się nie boisz? My sprawiedliwą karę odnosimy za uczynki nasze, lecz Ten cóż złego uczynił?

A obracając mowę do Chrystusa, zawołał pełen skruchy za przestępstwa swoje:

Panie! pomnij na mnie, gdy przyjdiesz do królestwa Twego.

Zaprawdę, rzekł mu Jezus, dziś ze mną będziesz w raju.

A stała blisko krzyża Jezusa, Marya Matka Jego i inne niewiasty. Jezus tedy widząc Matkę i ucznia którego miłował, także stojącego, rzekł Matce swojej:

Niewiasto, o to syn Twój.

A uczniowi:

O to Matka twoja.

I od tej godziny wziął Ją uczeń na swe sta-

ranie. Potem widząc Jezus, iż we wszystkim ziszcilo się pismo, rzekł:—Pragnę!

A że stało naczynie pełne octu, żołnierze przeto umaczawszy w nim gąbkę, podali do ust Jego. Jezus przyjął ocet, a cierpiąc i tęskniąc, wołał głosem wielkim:

Boże mój, Boże mój! czemuś mnie opuścił!

Po chwili zaś rzekł:

Wykonało się!

A przemówiwszy jeszcze:

Ojcze, w ręce Twoje oddaję Ducha mego!...

Skonał. Natychmiast zaćmiło się słońce, zdrząła ziemia, skały się popadały, groby się otworzyły, wiele ciał powstało z martwych, zasłona świątyni jerozolimskiej rozdarła się na dwoje od wierzchu aż do dołu, a rotmistrz i żołnierze strzegący Jezusa, widząc co się dzieje, pełni przerażenia i zbawiennęj skruchy, wołali:

Zaiste, Ten był synem Bożym!

Jeszcze w Piątek wieczór, ponieważ to był dzień przygotowania paschy, żydzi nie chcąc, aby na ten wielki dzień Sabatu ciała zostały na krzyżu, prosili Pilata, aby je zdjęto. Przyszli tedy żołnierze i pierwszemu który z Jezusem był ukrzyżowany, złamali golenie, także i drugiemu, lecz

przyszedłszy do Jezusa, gdy Go ujrzeni już umarłym, nie łamali goleni Jego, tylko jeden z żołnierzy włócznią otworzył bok Jego, i wyszła zeń krew i woda. A stało się to, aby się wypełniły słowa pisma:

Kości w nim nie złamią!

A dalej:

Ujrzą kogo przebodli!

Potem Józef z Arymatei, uczeń Chrystusa prosił Pilata, iżby mógł zdjąć ciało Jezusowe. Pozwolił Pilat, poszedł więc Józef i zdjął. Przybył też i Nikodem, niosąc maści z aloesu i miry, zmieszanej blisko sto funtów. Wzięli tedy ciało Jezusa i owiazali je prześcieradłem z rzeczami wonnemi, jako był zwyczaj pogrzebowy u żydów. A na tem miejscu gdzie ukrzyżowano Jezusa, był ogród, a w ogrodzie grób nowy kowan w skale, w którym jeszcze nikt nie leżał. Tam Go położyli. A były przy tym pogrzebie niewiasty święte, które oglądając grób i jak było położone ciało, mówiły do siebie:

Skoro dzień świąteczny minie, przyjdziemy tu, odwalimy kamień, olejków i wonnej maści dodamy.

Lecz tego wieczora poszli wszyscy do domu,

aby się uspokoić na dzień świąteczny podług przykazania. A nazajutrz rano zebrawi się arcykapłani i faryzeusze do Piłata, mówiąc:

Panie! wspomnieliśmy, iż ów zwodzieciel powiedział jeszcze żyjąc:

Trzeciego dnia z martwych wstanę! przeto rozkaż, aby strzeżono grobu aż do trzech dni, by snadź uczniowie Jego przyszedłszy nie ukradli Go i nie powiedzieli ludowi: oto powstał z martwych.

Piłat im odpowiedział:

Macie straż, idźcie i strzeżcie jako wiecie.

A oni poszli, obwarowali grób, zapieczętowali kamień i straż przystawili.

Gdy minął dzień Sabatu, Marya Magdalena, Marya Jakóbową i Salomea przyrządziły wonnych maści, ażeby namazać ciało Jezusa. I bardzo rano, gdy słońce wschodziło, przyszły do grobu, a idąc mówiły:

Kto nam odwali kamień grobowy? Lecz spojrzawszy zobaczyły kamień odwalony, który był bardzo wielki. I stało się było drżenie ziemi, bo anioł zstąpił z nieba, a przystąpiwszy odwalił kamień i siedział na nim. Wejrzenie jego było jako błyskawica, a odzienie jakby śnieg; stróż

z zaś grobowi przestraszeni stali jakoby umarli. Niewiasty obaczywszy zdumiały się, ale anioł im rzekł: Nie bójcie się, wiem, iż Jezusa ukrzyżowanego szukacie; nie masz Go tu, powstał z martwych jako powiedział. Przystąpcie, oglądajcie miejsce gdzie leżał, a prędko idąc, powiedzcie uczniom jego, co się stało. Niewiasty wyszedłszy prędko od grobu, z bojaźnią i radością wielką biegły opowiedzieć wszystko uczniom. A oto Jezus spotkał się z niemi, mówiąc: Bądźcie pozdrowione! A one poznały go, a przystąpiwszy objęły nogi jego i uczyniły pokłon. On tedy im rzekł: nie bójcie się! Idźcie, oznajmijcie braci mojej, aby poszli do Galilei, tam mnie ujrzą.

Później Chrystus pokazał się powtórnie dwóm uczniom idącym do miasteczka Emaus, następnie uczniom zgromadzonym na wieczniku, a ostatni raz objawiwszy się im, rzekł:

Idźcie na cały świat i opowiadajcie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu. Kto uwierzy i ochrzci się, zbawion będzie, kto nie uwierzy, będzie potępion. Oto cuda które następować będą dla tych co uwierzą. W imię moje złych duchów będą wyrzucać, nowymi językami mówić, będą brać węże do ręki i choćby co śmiertelnego pili, szkoda

dzie im nie będzie. Na chorych położą ręce, i będą zdrowi.

A gdy tak Jezus do nich powiedział, wzięty jest do Nieba i usiadł na prawicy Bożej. Uczniowie zaś rozszedłszy się opowiadali wszędzie Ewangelię, a Pan im dopomagał i utwierdzał naukę cudami.

Otóż macie w krótkości przedstawiony żywot Chrystusa Pana, od chwili przyjścia Jego na świat, aż do Wniebowstąpienia. Nauki jakie głosił, opisało czterech Ewangelistów, a Kościół święty przy nabożeństwie codziennem i z kazalnicy opowiada je pobożnemu ludowi, ucząc zarazem jak powinien według nich żyć, aby dostał zbawienia.

Słuchajcież ich pilnie i zachowujcie w sercu i w pamięci. Chrzest Święty uwalniając z grzechu pierwородnego, robi was chrześcianami, ale prawdziwym chrześcianinem jest dopiero ten, co znając naukę Chrystusa, według niej postępuje.

Modlitwa za Rodziców.

Kiedy w porannej rozmyślań godzinie,
Do Ciebie Boże modły moje wnoszę,
Nad inne tkliwiej jedna w niebo plynie,

I dłużej, rzewniej Cię proszę,
Ze łzą miłości wnosząc to błaganie,
Rodzicom naszym pobłogosław Panie!

Oni to Boże wiedli mnie do Ciebie,
A gdy Cię całem sercem ukochałem,
Boże mój Ojczy który jesteś w Niebie,

W nich ja Twój obraz widziałem,
I z większą jeszcze czcią wzniosłem błaganie,
Rodzicom naszym pobłogosław Panie!

Czucie miłości co mnie łączy z niemi,
Tyś sam wlał w serce niepojęty Boże!
Tyś sam zjednoczył węzłami świętymi,
Jakich nikt zerwać nie może.

Więc z wiarą w Ciebie, wnoszę to błaganie,
Rodzicom naszym pobłogosław Panie!

Niech własne dziecko nieba im przychyli
I dni ich życia niech szczęściem otoczy,
A serca nasze w każdej życia chwili,

Święta niech miłość jednoczy.
O Boże wielki przyjm moje błaganie,
Rodzicom naszym pobłogosław Panie!

MOJA MATKA.

Gdym pierwszym płaczem powitał to życie,
Czyjego serca usłyszałem bicie?
Kto pozbawiony sił prawie ostatka,
W swoim objęciu utulił mię drżącym;
Kto pocałunków upieścił tysiącem,
Kto? moja Matka.

Z czyjego życia przez tyle miesięcy,
Czerpałem chciwie pokarm niemowlęcy?
Kto na minutę odbiegłszy z ukradka,
Ledwie zakwilił, wracał do kołyski
Niosąc mi razem swą krew i uściski;
Kto? moja Matka.

Kto po dniu pracy spoczawszy w noc ciemną,
Snu się wyrzekał by czuwać nade mną,
Mając w tem Boga jedynie za świadka?
Kto za najmniejszym z kolebki szelestem,
Szeptał z uśmiechem: „jestem, synku, jestem“
Kto? moja Matka.

Kto mnie przy pierwszych krokach wiodł za ręce,
Kto rzucał światło w pojęcia dziecięce,
Kto wspierał moje młodociane latka?
Kto kształcił duszę co z wolna się budzi,
Kto uczył kochać i Boga i ludzi?
Kto? Oh! zawsze Matka!

Co nauka daje człowiekowi?

Żeby wam dokładnie odpowiedzieć na to pytanie, przypatrzmy się ludziom co o nauce nie mają najmniejszego pojęcia, i gdyby im pokazano drukowaną książkę, patrzyliby na nią jak na raroga, nie pojmując jej znaczenia i pożytku. A znajdują się tacy jeszcze na ziemi w bardzo wielkiej liczbie, nie między nami na szczęście, ale w dalekich stronach świata, jak to mówią, za wielkimi morzami i wysokimi górami.

Kiedy pierwszy raz przybyli do nich osadnicy z krajów przez nas zamieszkałych, z Francyi, Niemczech i Anglii, mających ogólną nazwę Europejczyków, od razu nad ludami temi wzięli przewagę i używali ich do różnych posług, które spełniali z wielką gorliwością. Pomiędzy innemi, nosili oni listy od jednej osady Europejskiej do drugiej, i nie mogąc pojąć, jakim to dzieje się sposobem, iż po otwarciu go i przejrzeniu, ten co list odebrał, wie co zaszło ważnego w miejscu tak oddalonem, w którym wcale się nie znajdował, powiedzieli sobie:

— Przybysze z Europy to wielcy czarodzieje,

i czarodziejstwem swoim zmusili nawet kawałek smatu tak niepozornego do patrzenia, słuchania i opowiadania potem tego, co widział i podsłuchał.

Na Europejczyków też spoglądali jak na wyższe jakieś istoty wprost do nich z nieba przybyłe, a z listami obchodzili się przy ich przenoszeniu, jakby ze stworzeniami żywymi, strzegąc się nawet mówić przy nich coś takiego, coby Europejczykom mogło się niepodobać. Posłaniec też z listem spotkawszy się z jakim znajomym, dawał mu najprzód znak aby zachował milczenie, potem z największym uszanowaniem wyjmował list z zachowania, odnosił go na stronę, przykładając kamieniem lub zakopywał w ziemię i ukloniwszy się przystępował dopiero do znajomego, aby z nim bez żadnej już obawy podsłuchania pogawędzić.

Z tego najlepsze możecie powziąć wyobrażenie, jakie to były ludy proste i jakie ich było życie, skoro nawet nie znali co to jest pisanie i czytanie. Patrząc na siedzących na koniach i powodujących nimi według swęj woli, zdawało im się że koń i jeździec to jedna istota, a jak uszyszeli wystrzał z broni palnej, co z błyskiem ognia i wielkim hukiem zabijał ptaka na wysokiem siedzącego drzewie, powiadali, że Europejczycy ma-

ją w rękach pioruny, któremi według swęj woli rozporządzają. Działo się to wszystko lat temu czterysta, mimo tego i dziś jeszcze w oddalonych od nas stronach, znajdują się ludy żyjące prawie jak zwierzęta, które tylko z postawy są do ludzi podobne.

Pojechać tam aby się z nimi zapoznać, nie bardzo bezpiecznie, bo nie tylko zabijają, ale zjedzą, jak wilki wygłodniałe. Są jednak tak odważni ludzie, co się narażają na tak wielkie niebezpieczeństwo, a do tych należą kapłani, prawdziwi Apostołowie; ludzie oddający się nauce i różni osadnicy szukający w pracy godziwego zarobku dla swego utrzymania. Kapłani niosą im światło nauki Chrystusa, uczeni pragną badać i poznawać strony im nieznanne, aby przyswoić z nich coś takiego, coby wszystkim przyniosło pożytek.—Osadnicy zaś zakładając kolonie, starają się przykładem swoim zachęcić ludy te do pracy, do rolnictwa i chowu bydła czem zupełnie się nie zajmują.

Cóż więc robią? zapytacie się zapewne. Nic, bo nic nie umieją. Umieją tylko jak zwierzęta starać się o pokarm i spokojny odpoczynek, i gdy to mają zapewnione, oddają się zupełnemu pró-

źniactwu. Przypatrzmy się im bliżej jakbyśmy tam byli między niemi, bo opisy ich życia tak są dokładnie przez kapłanów i uczonych zrobione, że to z łatwością da się dopełnić.

Oto kraj gorący, w którym ani śniegu ani mrozu nie znają i tylko podczas zimy deszcz pada przez trzy miesiące. W lecie słońce piecze jak ogniem, ptastwo ukryte pomiędzy gałęziami, ledwo dyszy z upału, zwierzę dziki leży przyczajony w trawie osłonięty cieniem leśnego gąszczu, pełzają tylko potworne gadziny i fruwa miliony różnego robactwa z brzękiem, szumem, że aż strach przejmuje. Zresztą pustka najokropniejsza; pola leżą odłogiem, niziny zarastają różnemi krzewami, badyłami i chwastami, lasy tak są gęste że kroku bez siekiery przez nie nie postąpi, pełno w nich zwalów, zgnilizny, tylko czasem chrupną lub zaszesezczą gałęzie, albo ozwie się jaka wrzawa niesłychana i nagle ucichnie. Potoki rwą, rzeki szumią, bagna nieznośnie wonieją, a nigdzie jak szeroko i długo, przez milę, dziesiątki mil i więcej, ani drogi, ani mostu, ani kładki, ani domostwa najmniejszego, tylko tu i owdzie pomiędzy skałami, urwiskami i gąszczem nizin i lasów, przewija się ścieżka wydeptana, świadcząca, że w tem pust-

kowiu znajdują się istoty jakieś żywe, co poruszają się i chodzą.

Jakież to jednak? Co ten wrzask okropny w lesie znaczy?

To dzikie zwierzęta wszechwładnie panujące w tych stronach.

Gdzież człowiek?

Zaraz ujrzymy go.

Oto słońce poniża się ku zachodowi. Urwiska, skały i góry cień już dłuższy rzucają na ziemię, z pomiędzy nich w miejscach najniebezpieczniejszych, u podnóża jednej ze skał porwanego ściekiem wody pędzącej z góry, porusza się kupa kamieni, a z pomiędzy nich wysuwa się cicho, ostrożnie jak wąż pełzający w trawie, jakaś głowa do ludzkiej podobna. Twarz opalona, brunatna, włosy długie potargane a w spojrzeniu oczy błyszczą jak u dzikiego kota migając na wszystkie strony, to w prawo to w lewo. Po chwili za głową wysunął się cały człowiek, nagi, ze skórą brunatną, tylko w opasce około bioder z listy ułożoną. Chudy, cienki, niewielkiego wzrostu, obejrzał się baczenie na wszystkie strony, a potem przez rękę do ust przyłożoną, wydał głos jakiś stłumiony, i zaraz w tej chwili z różnych dziur

i załamek skalnych, zaczęły się wysuwać podobne jemu postacie i kobiety z gromadką dzieci różnego wieku. To osada, jedno pokolenie tych biedaków zowiących się Buszmanami, a nory i podziemia i jaskinie to ich mieszkania, bo w innych przed napaścią dzikich zwierząt nie byłiby bezpieczni. Gromada Buszmanów jak stado myszy przeskakując przez przepaście, po kamieniach, chwytając się krzaczków i łodyg, zbiegła się do swego naczelnika i jednym zgodnym głosem zarzeszczała:

— Jość! jość!

Naczelnik dał znak, wszyscy się uciszyli, skinął na lewo i kilku poskoczyło ku rzece; dał znak na prawo, drugich kilku pobiegło ku lasowi, przy nich zaś starsi i silniejsi co się zatrzymali, ujęli kije z osadzonemi na nich kamiennemi ostrzami, lub z kości ryb i zwierząt wyrobionemi, i poszli za nim w gąszcz nizin szukać zdobyczy.

Ci co pobiegli ku rzece, rzucili się w nią jak wydry, dali nurka i po chwili wypłynęli na wierzch. Niektórzy trzymali ryby, inni z próżnemi wydobyli się rękami, szli więc znowu nurkiem pod wodę. Udający się do lasu z większą postępowali ostrożnością. Była to wyprawa na różne pluga-

we robactwo, które trzeba było wyszukiwać między trawą, pod grubą warstwą butwiejącego podścieliska, lub na pniach drzew i jego gałęziach. Jedni z nich stojąc w milczeniu nasłuchiwali z wielką uwagą, i nagle podskoczywszy, przybliżali się do drzewa, uderzeniem kamienia odrywali korę i z pod niej wyciągali robaka, tak cicho pod nią świdrującego, że duże trawki otarte o siebie przez podmuch wiatru, jużby większego szelestu od niego nie wydały.

Starsi wreszcie udający się w gąszcz nizin, tropili różne mniejsze zwierzęta, a i większemi nie gardzili jeżeli tyle były nieostrożne, że się dały podejść. Czasami w tem zabiegu o żywność tak różnorodną, gromady wyszukujące ją zostały spłoszone nagłym rykiem drapieżnego zwierza, a nawet jego napaścią, wtenczas silniejsi skupiali się z narzędziami obrony, a kobiety i dzieci uciekały ku osadzie. Zdarzało się także, że zwierze dziki rzuciwszy się na gromadkę Buszmanów porwał z niej którego, a choć krzyczano i straszono, nie puszczał swojej zdobyczy.

— Ha! mówiono wtedy przy powrocie z wyprawy, lew porwał nam towarzysza, trzeba się wynieść z tych stron, bo jak się znęci to nas wy-

łapie co do jednego. Po nagromadzeniu więc żywności, wszyscy zasiadłszy na ziemi, objadali się przyniesionemi rybami i zwierzyną zupełnie na surowo, a na zakąskę jako rzecz delikatną zjadali robaki oblizując po nich palce. Jeżeli pożywienia było dosyć, to opychali się niem jak to mówią po dziurki w nosie, i objadłszy się zaraz przewracali się na ziemi zasypiając jak zabici. Po przebudzeniu się, szli do rzeki lub potoku i położeni na brzuchu, chlipali wodę jak to robi rogacizna; potem się przeciągnęli i czując że jeszcze w brzuchu pustek nie ma, szli spać na nowo. Jeżeli brakło wody, zwierzyny, ryb w wodzie lub robactwa w lesie, przenosili się w inną okolicę, pilnując się zawsze skał lub rozpadlin. Czasami w tem wałęsaniu się, spotykali się z innymi pokoleniami, natychmiast następowała bójka, w której mordowano się bez najmniejszej litości, uchwyczonych zaś jeńców zabijano i zjadano jak wołu albo wieprza. Zwyciężona strona uciekała jak mogła najdalej, ażeby uchronić się od powtórnej na siebie napaści, ztąd pokolenia te w wiecznej z sobą pozostają wojnie i nienawidzą się jak pies z kotem, tępiąc się wzajemnie z wielką zaciętością. —

Czasami jedno z takich pokoleń robi wyprawę na osady Europejczyków, w celu porwania im stada owiec lub bydła. Niekiedy taka kradzież udaje się im, ztąd niepokój wielki dla gospodarzy. Z chwytanemi na gorącym uczynku w pierwszej chwili obchodzono się łagodnie, później smagano, więziono, wreszcie wieszano na drzewach, a gdy to wszystko nie pomagało, Buszmanów teraz ścigają jak leśne zwierzęta, bo od nich na prawdę nie wiele się różnią.

Jakież to nędzne życie! Ni wygody, ni bezpieczeństwa, nora ziemna jest im pałacem, robak obrzydły przysmakiem, nasycenie się surowem mięsem jedyną rozkoszą, a leżenie próżniacze głównem pragnieniem, którego każdy z nich z tęsknotą wielką wyczekuje.

Otóż macie obraz życia ludzi żyjących bez żadnej nauki, i obraz okolicy którą zamieszkują. Jakaż to ogromna różnica od naszego życia i miejscowości przez nas zajmowanej. Dość rzucić okiem choćby na najbiedniejszą chałupkę, na człowieka choćby najskromniej ubranego aby ją poznać.

Ten kawałek razowego chleba który do ust niesiemy, przysposobił rolnik, młynarz i piekarsz:

na ten nóż którym go krajemy, rudę dobyli górnicy z wnętrza ziemi, we fryszerkach wytopiono z niej żelazo, w fabrykach porobiono ostrza, a nożownik zrobił dopiero to narzędzie tak użyteczne. Sól której używamy dla nadania lepszemu smakowi jedzeniu, wykopano z głębokiej kopalni albo sztucznie wywarzono z wody przesyconej solą; pieprz, herbata, kawę i różne zioła, sprowadzono z dalekich krajów, wioząc je przez rozległe morza na okrętach, tak wielkich jak ogromne budynki, w których i tysiące ludzi może się mieścić wygodnie. Na płótno, sukno, różne chustki i perkaliki, na obuwie, kapelusze, pasy których codziennie używamy, konopie, len, bawełnę sprowadzoną z dalekiej obczyzny, przerobiły przędzalnie, garbarnie wyprawiły skóry, różne fabryki zrobiły sukna, a krawcy, szewcy, szwaczki, czapnicy, uszyli, według miary żeby nam były wygodne. Chcąc głód zaspokoić używamy pokarmu z roślin i ze zwierząt sztucznie przy ogniu przygotowanego, albo uwędzonego w dymie; do posługi i pracy używamy konia i wołu, a nawet wody, wiatru i pary do nadania ruchu licznym fabrykom, wyrabiającym ludziom różne przedmioty najrozmaitszego pożytku.

Jeżeli chcemy udać się w dalszą okolicę, wsiadamy na wóz lub na konia, a dla większego jeszcze pośpiechu na pociąg kolei żelaznej i ciągnięni parą, w godzinę przebiegamy kilka mil drogi, na przebycie której pieszo i jeden dzień często by nie wystarczył. Żeby w podróży nie doznać przeszkody, piaski ubito zwirem, bagna osuszono rowami, większe wyniosłości skopano, na strumieniach i rzekach postawiono mosty, góry wskrós przebito, lasy przecięto, a na większych wodach statkami urządzono przewozy, co podróżnych przenoszą z największym pośpiechem z jednego brzegu na drugi.

Jeżeli ktoś pragnie z drugim mieszkającym choćby w największym oddaleniu, porozumieć się w jakim interesie, pisze list a poczta przewozi go dniem i nocą, choćby, jak to mówią na koniec świata. W pilniejszym interesie śle wiadomość przez telegraf zwany elektrycznym, która po drutach żelaznych za pomocą elektryczności, pędzi szybko jak piorun i w chwili jej wymówienia o tysiąc mil powtarza się natychmiast w tem miejscu gdzie chcemy.

Jeżeli pragniemy dowiedzieć się co się dzieje między ludźmi, bierzemy do czytania gazety: je-

zeli chcemy nauczyć się czego nowego, bierzemy książkę, łakniemy zabawy, dostarczy jej także książka i różne inne rozrywki, a choćby i skakanie taneczne przy dźwięku skrzypek i basetli.

Niepodobna wam kochane dziatki wyliczyć wszystkich upowszechnionych dogodności, jakich bez wyjątku używa każdy z nas, bez różnicy czy ubogi czy bogaty. Można śmiało powiedzieć, że dla zaspokojenia naszych potrzeb służą nie tylko płony całej ziemi, wszystkie stworzenia na niej żyjące, ale i wewnątrz ziemi z minerałami w niej zamkniętymi, woda, powietrze, ogień, para znikoma, której nawet ręką nie można ująć i elektryczność której się nie widzi, tylko się wie że jest, i że może to robić co jej człowiek każe.

Jakżeż więc życie nasze ogromnie się różni od życia Buszmanów! Cóż tę różnicę spowodowało?

Nauka, moje dzieci, nie więcej tylko nauka, która powstała z dochodzenia własności wszystkiego co przez Boga zostało stworzone. Praca koło tego trwała długie wieki, każdy co wybadał, zapisywał to w książkach, drugi dokładał do tego własne postrzeżenia, i tak idąc przez lata i wieki, utworzył się ogrom nauki, która zajmuje się wszystkim co uczy człowieka miłości Boga,

dobrej pracy, poczciwego życia i zgodnego pożycia z ludźmi.

Nauka zatem daje prawdziwe szczęście, gdzie jest jej więcej, tam większy jej wpływ zbawienny, większa miłość Boga, lepsza praca, poczciwsze życie, i większa wzajemna zgoda.

U nas nauka mało upowszechniona, to też gorzej u nas jak gdzieindziej. Gdzie u nas kłosek jeden wyrasta, to na obczyźnie pięć i dziesięć ich rośnie. Nasze bydło drobne i daje mleko ledwo kwaterkami, w obczyźnie rogacizna jak spławy, a mleko leje się z nich garncami. Nasze konie jak koty, tam jak cugowe, zaprządź je można choć do karety. Na naszych łąkach lub pastwiskach, co krok to oset, badył lub kretowina, tam można toczyć jabłka jak po stole, a nigdzie przeszkody nie spotka. Przy naszych drogach czasem tylko topole lub wierzby rosną i to rzadko, bo je zaraz po zasadzeniu wylamią lub z kory obedną, tam wszystkie drogi wysadzone są najpiękniejszymi drzewami owocowymi, a nikt z nich nie zerwie ani jednego owocu, tylko zbiera te co opadły i leżą na ziemi.

Tam rzemiosła wszystkie tak są umiejętnie prowadzone, że im w wielu razach dorównać nie

możemy. To też u nas wszystko i droższe i gorsze, i wszystko prawie sprowadzamy z zagranicy, nawet atrament do pisania, szuwaks do butów, śpilki do zapinania, nawet zapałki i sztyfty drewniane do butów. Przypatrzcie się tylko sklepom po miastach, a co tylko w nich ujrzyjecie, wszystko to towar zagraniczny. Pod tym względem tak się źle z nami dzieje, że kiedy kto gwałtem zapragnie tu coś dobrze zrobić, to rzemieślników nawet wyrobników, musi zwozić z zagranicy. Niedawno do Warszawy sprowadzali chleb z Prus, bo wypiekany w miejscu był niepodobny do jedzenia, a do ułożenia bruku na placu przed Bankiem przywieziono brukarzy aż z Berlina, bo naszych robota i pół roku wytrzymać nie mogła.

Co więc sami moglibyśmy zarobić, zarabiają drudzy, zamiast siebie, bogacimy obcych, u nas też bieda, tam dobrobyt, u nas smutnie pochyłone głowy, tam rażno podniesione w górę, a wszystkiemu temu winien brak nauki, bez której nie kwitnąć nie może. Czemu więc moje kochane dziatki będziecie po wyrośnięciu, czy rolnikami, rzemieślnikami lub wyrobnikami, umiejac już czytać, czytajcie książki jakie wam starsi podadzą. Przez nie uczyć się będziecie, pamiętać, ro-

zważać i zastanawiać się, a gdy wprawicie się w myślenie jak należy, to w latach dorosłych dacie sobie w każdym razie radę, i wynajdziecie książkę jakiej wam będzie trzeba do waszego zajęcia. Gdy czego nie zrozumiecie, będziecie wiedzieli do kogo pójść o objaśnienie, a wreszcie zobaczywszy coś dobrego u drugich, to pojmiecie zaraz i zrobicie, a o czem usłyszycie, to wyprobujecie.

Tym sposobem w umiejętności zajmowania się rolą lub rzemiosłem, dorównacie zagranicznym pracownikom, a przez to i wam będzie lepiej i wszystkim przy was, bo i chleba będzie więcej, i zarobku nie tak skąpo jak teraz, gdyż ten będzie szedł nie w cudze, ale w wasze ręce.

PIOSNKA ORACZA.

Wolki moje, wolki, już na niebie dzionek,
Już piosnkę świergocze poranny skowronek;
Już pędzą w las trzodę pacholeta hoże,
Dalejże na rolę, Bóg nam dopomoże.

Trzebaż bo zaorać rankiem pól wymiaru,
Póki Pan nie spuści słonecznego skwaru;

Póki ziemię chłodną rzeźwi jeszcze rosa,
I ptastwo swobodnie ulata w niebiosa.

Dalej moje wolki, stąpajmy powoli,
Dzwigając się spolem po nierównej roli;
Ja wam plug uniosę, ciągnijcież co siły,
Zaorzemy w końcu nasz zagonek miły.

Da Pan Bóg doczekać, ręka pracowita
Rzuci nań w jesieni parę garstek żyta,
Nie długo też patrzeć jak się w czarnej ziemi,
Pod śniegiem zimowym ziarneozko rozpleni.

A kiedy się lany zazielenią wiosną,
To błogoż dla oka i sercu radosno;
Tu strzeli ostróżka, tu modry bławatek,
Bo trzebaż pociechy i dla Bożych dziątek.

Oj cudniej to jeszcze, gdy kłosista niwa,
Niby złotą falą powoli przepływa;
Gdy drobna przepiórka zawoła żniwiarzy,
I polny swierszcz piosnkę tajemnie zagwarzy.

A potem na łanie zebrani w krąg żeńce,
Ze złotej pszenicy bujne spłotą wience;
Radzi, że na roli będzie z łaski nieba,
Dla czleka i ptastwa podostatkiem chleba.

Dalej moje wolki, nie leńmy się pracy,
Bo na nią czekają i ludzie i ptacy;
Już promyk poranny z za chmury migota,
Wszak czleka przy słońku rańniejsza ochota.

Spoczniemyż w południe pospołu po znoju,
Zapędzę was wolki do czystego zdroju,
Dam trawki poskubać po bujnym ugorze;
A teraz do pracy: Bóg nam dopomoże!

JAK TO JAŚ ZOSTAŁ PANEM JANEM.

Na uboczu we wsi Blizinach, stoi kuźnia,
a w niej od świtu do późnej nocy, nieraz majster
kowalski Józef Zawłocki, kuje młotem z pomo-
cnikami sypiąc iskry z żelaza rozpalonego do
czerwoności.

Jedyny jego synek Jaś, całe lato z rówienni-
kami swemi przebawił na błoniu wiejskiem, ale
kiedy już dobrze biegać się nauczył, że nieraz
i starszemu nie dał się prześcignąć, Matka raz
rzekła do niego:

— Jasiu! kupiłam ci elementarz, trzeba żebyś
się czytać nauczył.

Jaś z ochotą stanął przy Matce i dalej do
nauki. Szła mu ona z łatwością, bo przy ocho-
cie wszystko i dobrze i spiesznie się robi.

Po upływie więc roku, Jaś już nie najgorzej
czytał, później wziął się do pisania i rachunku,

a po latach trzech doszedłszy do dziesięciu lat, nie tylko przykładowie modlił się w kościele z książek, nie tylko przeczytał coś ciekawego z innych książek lub gazet co ze dworu dostawał, ale umiał nawet list napisać od Rodziców do Wuja, mieszkającego w pobliżkiem miasteczku.

Mimo tej pilności w nauce, pomagał Matce w gospodarskiem zajęciu jak umiał. Przyniósł wody lub drewek, zamiótł izbę, wyniósł śmiecie, przydźwigał woreczek piasku lub gałązek z lasu, przypilnował drobiu żeby w szkodę nie poszedł, trzody chlewniej aby się do cudzego nie wsunęła ogrodu, a nawet zajrzał czasem do kuźni, aby się przypatrzeć jak to miech rozdyma zarżące się węgle, a Ojciec z ciężkiem westchnieniem i trudem pracuje na kawałek chleba.

— Cóż Jasiu będziesz kowalem? zapytał go raz Ojciec.

— Będę Ojcie, odrzekł Jaś, ale wprzódoby radbym się czego z książek poduczyc.

— Ha! to trzeba będzie o tem pomyśleć, odrzekł Ojciec, i naradziwszy się z żoną swą, postanowili Jasia oddać do Wuja ślusarza, aby chodził w miasteczku do szkoły. Po upływie roku Jaś przyjechał do Rodziców na dłuższy czas, na tak

zwane wakacje, trwające przez całe dwa miesiące. Kiedy go rówieśnicy zobaczyli z którymi tyłem się nabiegał i nabawił, jak wyrósł i jakoś się zmienił na poważnego chłopczyka, przyglądali się mu z wielkim podziwem, nie śmiejąc nawet słowa przemówić. Jaś patrzył także na nich i uśmiechał się, a gdy się dobrze już sobie przypatrzyli, rzekł do nich:

— Czyście mnie nie poznali? przecież ja ten sam Jaś dawniejszy, cośmy się tyle z sobą nafiłowali i nabarażkowali. Jak się masz Wojtusi, Pawełku, jak się masz Wiktosiu i Marynko, a ty Józku czego się tak schowałeś za Marcinka? Chodźcie do mnie, uściskajmy się, bo mi aż serce skacze z radości że was znowu widzę, i jestem między wami.

Przy tych słowach, Jaś zaczął ścisnąć koleją swoich dawnych towarzyszy. Chłopcy osmieleni, rzucili się w objęcia Jasia, zbliżyli się do siebie buziaki, wyciągnęły ręce, spłotły na szyjach w przyjacielskim uścisku, i tak żwawo sypały się całusy, tak każdy pragnął powitaniem obdarzyć Janka, że dwom młodszym potknęły się nogi, upadli, na nich padli drudzy, ten na tego, ten na owego, tak, że cała gromadka nagle znalazła się

leżąca na murawie i gramoląca do powstania, jakby w jakiejś bójce lub wielkiej zwadzie. Dziewczynki klaszcząc w ręce śmiały się radośnie, chłopcy także się śmiali do rozpuku, a że przytem i figlów i wrzawy nie brakło, krzyk, hałas, śmiechy i klaskanie rozlegały się po wsi całej.

Z izby wybiegła najprzód Majstrowa, z innych domów Matki strwożone i zobaczywszy chłopców w gromadzie przewracających się po ziemi, były pewne, że się chłopcy pobili i dalej pędzić na ratunek każda swojego dziecka.

Takie było powitanie Jasia ze swemi rówienikami, serdeczne i pocziwe, choć ściągnęło na siebie połajanie za nieuwagę. Od tego dnia rozpoczęło się chłopczyków dawne wesołe życie, ale tylko w święta, bo w dzień powszedni każdy musiał pomagać pracy rodzicielskiej. Za to w święto, gromadka chłopczyków razem szła do kościoła, rozprawiała, żartowała, Jaś przez drogę uczył ich różnych nabożnych pieśni jakie w szkole śpiewał, a po obiedzie biegli na błonia wiejskie albo do lasu bawić się w różne gry lub w piłkę, którą przywiózł z sobą ze szkoły, i nauczył jak jój należy używać.

I w takiej wesołości zbiegła większa połowa

wakacyi, Jaś był zawsze Jasiem dla swoich towarzyszy, a że przywiózł z sobą i książki rozmaite, więc nieraz otoczony swemi rówienikami, czytał im różne ciekawe opowiadania, których chłopczyki bardzo pilnie słuchali.

— Jaki ty szczęśliwy że tak umiesz dobrze czytać, odezwał się raz Marcinek wdychając, a reszta chłopców także westchnęła, podrapała się w głowę i zajrzała do książki trzymanej przez Jasia, jakby się chciała przekonać, czy tak samo jak on nie potrafią czytać.

— Zapewne, odrzekł Jaś, że to wielkie szczęście umieć czytać, ale nie jest to rzecz tak bardzo trudna jak się zdaje, i jeżeli chcecie to was tego nauczę.

— Chcemy, chcemy! zawołano gwarnie, naucz nas Jasiu, a będziemy cię dwa razy jeszcze lepiej kochać jak kochamy.

Jaś przyrzekł, ale powiedział, że musi się do tego przygotować, bo jednego, dwóch zresztą uczyć to łatwiej, ale kilkunastu razem to już znacznie trudniej. Jak tu więc to spełnić?

Jaś zamyślił się, wieczorem mało jadł, mało mówił tylko myślał. Chodził po dworze, patrzył w gwiazdy, przysłuchiwał się jak żaby rechoczą

i ciągle myślał. Zmartwiony że jakoś nie może sobie poradzić, westchnął wreszcie, szepnął w myśli: Boże! dopomóż mi! i układał się na nocny spoczynek. Nie mógł jednak długo usnąć, gdy nagle przyszła mu myśl zbawienna i uradowany aż się uśmiechnął sam do siebie.

Na drugi dzień zaraz rano poszedł do młynarza i poprosił aby mu z napioru powycinał małe tabliczki wielkości ręki. Na nich ponaklejał biały papier, a na nim wypisał na każdej tabliczce jedną literę. Zabrało mu to kilka dni czasu, a gdy robotę wykończył, zwołał wszystkich pod wielką gruszkę stojącą za wsią na pagórku i dalej do nauki. Była ona bardzo prostą.

— Patrzenie, rzekł pokazując pierwszą tabliczkę. Oto litera **A** ma dwie laski które przy górze schodzą się jakby w daszek, i mają w środku laskę jak bont co łączy dwie krokwie na dachu z sobą. Nie zapominajcie jęj nazwy.

Potem pytał kolejną każdego chłopczyka jak się ta litera nazywa, a gdy wymienili nazwę bez myłki, rzekł:

— Powtórzcie teraz wszyscy, jak się ta litera nazywa?

— A—A—A wrzaśnięto razem ochoczo.

— Dobrze, nie zapominajcie tego, odezwał się Jaś zadowolony, bo jak się później spytam a omyli się który z was w odpowiedzi, to jak go pociągnę za ucho i krzyknie aj! przypomni sobie zaraz, że ta litera **A** się nazywa.

Chłopcy w śmiech, a Jaś pokazał im drugą tabliczkę.

— Oto druga litera, rzekł, już odmienna. Ma laskę z lewego boku, a z prawego dwa niby brzuski, dobrze napęczniałe kartoflami i rzepą. Nazywa się *be*.

I znowu kazał się jęj dobrze przypatrzeć, rozważyć, powtórzyć nazwę, najprzód pojedynczo, potem gromadnie, i przeszedł następne litery powiadając, że **C** wygląda jakby obrączka rozwiedziona, a **D** jak brzuchaty bardzo człowiek, co się opasze pasem i puszy się z radości że mu i ciepło i syto. Nauczywszy w ten sposób czterech liter, pokazywał je potem na wrywki i pytał o nazwy. Wymieniano je gromadnie, który więc zapomniał i na **B** powiedział **D** to się douczył, ale co z niego drudzy nażartowali się, to już temu miary prawie nie było.

Chociaż do nauki tęg należeli sami starsi chłopcy, jednak wcisnął się pomiędzy nich mały

Mateuszek, chłopczyna zaledwie siedmioletni, bosy, w koszulinie, z gołą główką i usiadłszy na ziemi przy Jasiu, patrzył na tabliczki z wielką pilnością i słuchał z taką uwagą, że aż usta otworzył jak wrota w stodole. Po nauce pobiegł zaraz do domu, i uchwyciwszy kawałek węgla, wypisał na piecu wyuczone cztery litery:

A—B—C—D.

a pod spodem wyrysował coś jakby człowieka, z kapeluszem na głowie i z nogami niby w tańcu rozkraczonemi.

— A ty co tam bazgrzesz węglem po piecu? zapytała Matka siedząca przy kominie.

— Piszę Matko litery co się ich wyuczyłem, odrzekł Mateuszek, przypatrując się z uśmiechem swej pracy.

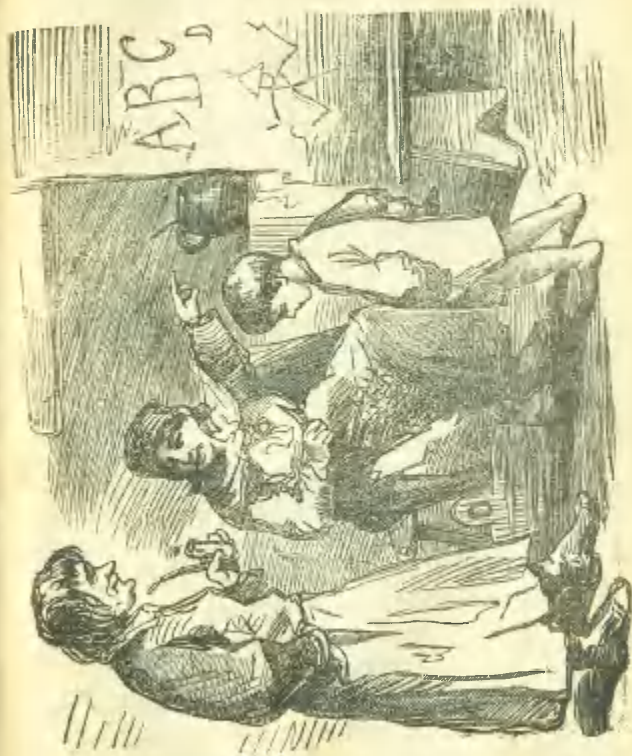
W tem wszedł Dziadek z fajką w rękę, Matka powitała Ojca i wskazując na piec, rzekła:

— Patrz Ojcze, jak to Mateuszek pisze węglem po piecu. Chłopczyna zawstydził się, nie wiedział co z oczami zrobić, a Dziadek uśmiechając się radośnie, zapytał:

— A i któż to cię tego nauczył?

— A pan Jan, Dziaduniu.

— Jaki pan Jan, kiedy takiego we wsi nie ma.



— A kowalczyk Dziadusi, syn naszego kowala....

— To Jaś, przerwał Dziadek, czemużes go Jaśiem od razu nie nazwał?

— A jabym go nie śmiał tak nazwać, odrzekł Mateuszek, on tyle umie....

Zdarzenie to rozeszło się po całej wsi, odtąd Jasja zaczęli we wsi lepiej wszyscy uważać, każdy spoglądał na niego z wielką przyjaźnią, a nawet i z poszanowaniem, a jak się dziewczynki i chłopcyki nauczyli liter, potem składania ich w sylaby, a wreszcie czytania, tak już go wszyscy młodzi panem Janem nazywali, a starsi dobrym Jankiem.

Takim to sposobem, Jaś dobił się własną zasługą nowego dla siebie tytułu, choć nie miał jeszcze brody i wąsów. Każdy przyjazd jego do domu, był zawsze z wielkiem przez wszystkich upragnieniem oczekiwany. Rodzice cieszyli się nim jak ukochanem swem dzieckiem, rówieśnicy że coś nowego dowiedzą się z książek, które im zawsze w święto czytywał, gospodarze zaś i gospodynie, że przez czas jego obecności będzie we wsi spokój, gruszek zielonych nie będą otrząsać, drzewek nie będą obdzierać z kory, z płotów nie

będą wyjmować kołków do zabawy, nie będą się z sobą wadzić, próbować kto mocniejszy, ciągnąc za klapy od przyodziewka, i dadzą spokój rzepie i grochowi w polu, a psom, kotom i drobiowi we wsi. Wszystko to Jaś zdziałał nauką czytania, czyliż więc niesłusznie przewano go panem Janem?

SZPAK I PTAKI.

Gdy raz Szpakowi młodemu,
Przyszła chęć gadać się uczyć,
Wiele ptaków temu złemu.
Chęć zapobiedz, jęło kruczyć.

Cóż za korzyść ci przyniesie,
Że w nauce będziesz ślęczyć,
Czyż nie lepiej latać w lesie,
Ze świergotem niż się męczyć?

Ale gdy się wieść rozniosła,
Że się Szpasio doskonali,
Sława jego tak urosła,
Że się wszyscy doń zbiegali,
Darząc Szpasia pochwałami,
I niskimi ukłonami.

Gdy nań przyszła radość taka,
Szpasio wszystkiemu zdanie głosi,

Że nauka nawet ptaka,
W wartości jego podnosi.

JAK TO ROZUM NAD GŁUPSTWEM MA PRZEWAŻĘ.

Zdarzenie prawdziwe.

Jeden z handlarzy przywiózł do Warszawy ze dwudziestu indorów, i zatrzymawszy się na placu targowym, porozwijał im skrzydła i wypuścił na wolność. Biedne ptaki otrzymaną swobodą nie mogły się dość nacieszyć, skakały i fruwały w górę, machały skrzydłami, a jak który zawadził drugiemu, to dalej go dziobem i nuż w czuby. Handlarz z obawy aby się nie pokaleczyły, rozdzielał rozszłoszczone ptaki, i dla uspokojenia ich, tego palnął po grzbiecie, innego w łeb stuknął i potem rzucił jednego na lewo, drugiego na prawo. Indory spoglądały na siebie ze zdziwieniem, zaskrzeczały, zapispzczały, korale im pobladły, pióra przygladziły się, ale ułagodzone nie myślały już o zwadzie i choć drugi zaczepił, przychyłały łbów potulnie i chyłkiem uciekały od napaśnika.

W tém handlarzowi wypadło pójść do miasta za interesem, że zaś nie miał kogo zostawić do dozoru, zgonił indory do kupki, spodziewając się że nim się rozejdą, on już będzie z powrotem. Ale indorom po podróży zachciało się jeść, łaknęły także chlipnąć trochę wody, jak więc handlarz odsunął się, zaraz zaczęły się rozchodzić w różne strony. Zgonił je więc powtórnie, potem po raz trzeci i piąty, bo ptaki ani chwili nie chciały zostać w gromadzie, a gdy zobaczył że im nie poradzi, poskrobał się w głowę frasobliwie i zamyślił.

Kto myśli to w końcu musi coś wymyślić. Handlarz nie był jednym z tych, co mu przy pierwszój przeszkodzie ręce opadają: namyślił się więc i wkrótce zataił ręce z radością. I wiecie co zrobił? Oto malutkiego figla.

Indorów po dwóch koleją obracał ku sobie łbami i popychał zachęcając do bitwy, indory spojrzawszy sobie w oczy, zacerwieniły się, oczy im zaiskrzyły się i nie namyślając się długo, pęł w łeb jeden drugiego. Napadnięty oddał z nasypką, wspinał się, uderzał skrzydłami, tłukł dziobem, gorgolił i bójka ogólna między indorami na dobre się rozpoczęła, w tój wzajemnej zażartości, głupie ptaki już ani pomyślały o rozcho-

dzeniu się w różne strony, a nawet tak się zbiły w kupę, tak się zawzięcie czubiły, drapały i dziobały, że zdawało się, iż jeden drugiego prędkiej połknie ze złości niż pomyśli o pójściu na stronę. Handlarz ujrzawszy to, uśmiechnął się, machnął ręką i poszedł za interesem, a indory były się coraz zapalczywiej.

Powróciwszy znalazł je w tem samym miejscu, nie brakło ani jednego, porozdzielał więc zapasników, tego palnął kijem, tego stuknął kułakiem i w pięć minut przywrócił zgodę. Widzicie jak to rozum wziął nad głupstwem przewagę.

LIS FILUT.

Raz dla zabawy lew naspraszal gości,
Zastawił stoliki do gry zwanój w kości,
Jeść dał i picia suto co się zowie,
Pragnąc by wszystko poszło im na zdrowie.
Gdy się do syta napili, najedli,
Lis, pies i małpa jak bracia zasiedli,
Przy jednym stoliku. Z początku zabawki
Szło wszystko zgodnie, zwiększały się stawki;
Lecz kiedy brytan zgrał małpę do grosza,
I ta zdąsana jak złośliwa osa,

Skoczyła na brysia wprost z pazurami,
Z rozżartą mordą, ostremi zębami,
Lis jako świadek tak niezwyklej zwady,
A zwykle łatwy do kłamstwa i zdrady,
Widząc że kłótnia coraz się zapala,
Łap za pieniądze i śmiejąc się zdała
Mówił pod nosem: gdy głupiec się swarzy
Z podobnym sobie, to lisek co zdarzy
Chwyta na własność. A kto grywa w karty,
Mówi przysłowie; miewa łeb obdarty.
Łatwy zysk niczem, tak im dalej prawi,
I tylko pracy Pan Bóg błogosławi.

JuŹjan Miłkowski.



ZŁA ZABAWKA.

Janek niewielki był chłopczyzna, całe lato biegał prawie w jednej koszulinie przepasanej krajką i z gołą rozczochraną głową, jak jednak mógł tak Rodzicom w pracy pomagał. To przyniósł wody ze źródła, patyczków suchych z lasu, to przyjrzał gęsi, zabawił młodszą siostrę, a czasem szedł w pomoc pastusze od bydła i trzody i za to pożywił się niezgorzej. Jeżeli jednak Rodzice byli w polu u pracy i wzięli z sobą małą Marysię, Janek sam jeden pozostawał we wsi przy mieszkaniu. Wtedy mu różne figle przychodziły do głowy; gonił koty, psom się sprzeciwiał, ploszył wrony, zbijał żaby kamieniami, a gdy mu się to wszystko naprzykrzyło, szedł między krzaki i chrusty do gaju, lub w koło budynków i wypatrywał gniazd ptasich, a jak które dostrzegł, pótý się wspinał i zachodził, to z tój to z owój strony, aż musiał je dostać, i jeżeli znalazł w niem jajka, to potłukł, a jak pisklęta, to łebki poukrycał i gotował z nich rosół albo porzucił jeżeli były zbyt małe.

Matka ganiła mu tę zabawkę, ale zakłopotana

na pracę nie miała czasu wytłomaczyć mu, że to jest wielka niegodziwość, tylko skarciła, wylała i odepchnęła od komina. Janek też słuchał ale swoje robił i nie było prawie dnia, żeby jakieś okrucieństwa biednym ptakom nie wyrządził.

Raz pobiegł do lasu i wypatrył jakieś większe gniazdo, a choć dwa ptaki latając nad nim bardzo żałośliwie piszczały, Janek nie zważał nie na to, i pótý przemyślał, aż gniazdo zdjął i spuścił się z niem na ziemię. Znalazł w niem pięć jaj dosyć sporych; ucieszony pobiegł przez pole, aby przed drugimi dziećmi pochwalić się ze zdobyczą. Po drodze spotkał Wojtka włóczącego bronami tuż pod starym murem od zabudowań proboszcza. Zawołał go więc i przykleknąwszy pokazał mu zrabowane gniazdo, a Wojtek przykucnął i z uśmiechem się mu przyglądał.

— Usmażę sobie z nich jajecznicę, odezwał się Janek.

— A wiele to ich jest? zapytał Wojtek i zaczął jajeczka przeliczać oczami.

W tem niespodzianie przybliżył się do nich miejscowy Proboszcz, a w górze po nad chłopcami, pokazała się Żoła, właścicielka gniazda i piszcząc, skrzecząc, zdawała się oskarżać małego



rabusia o tak wielkie zło wyrządzone sobie. Proboszcz z boleścią wyciągnął przed siebie rękę, mówiąc:

— Dzieci kochane, czy to się godzi biednemu ptakowi taką krzywdę wyrządzać?

Janek spojrział na Proboszcza i zawstydzil się.

— A kiedy to dziki ptak, proszę Dobrodzieja, odezwał się po chwili, całując kapłana w rękę, to szkody tem nikomu nie zrobię.

— Dziki, to prawda, odrzekł Proboszcz, ale i jemu Bóg żyć kazał, i on także wielki z siebie przynosi pożytek.

— A i cóż z niego ludziom przychodzi? zapytał Janek, lata i skrzeczy i tyle jego roboty.

— Nie tyle, moje dziecko, bo to Żoła, a ona najwięcej karmi się osami i trzmielami, które okrutnie kasają. Gdyby nie te ptaki, toby się te owady tak wprędce rozmnożyły, żebyś nie mógł być spokojny, tylko by cię cięły, po nogach, po twarży, po szyi, spuchłbyś strasznie, a nawet zachorował i umarł. Żoła broni cię od tej napaści zjadliwych owadów, więc należy ją szanować, nie niszczyć, bo każdy ptak choć troszkę szkody przynosi człowiekowi, ale daje tyle pożytku, że bez ptaków różne robactwo rzuciłoby się na lasy,

zboża i łąki. zjadło wszystkie liście, ziarna i nasiona, i zostałyby goła ziemia, a ludzie z braku pożywienia umieraliby z głodu, bo i bydło nie mając trawy, padłoby wprędce co do jednego.

— Przecież wróbel, proszę Dobrodzieja, to wielki szkodnik, odezwał się Janek, zjada wiśnie, wyjada ziarno na dojrzeniu, i niech snopek gdzie upatrzy, zaraz chmara go obsiadzie i młóci dziobem jak cepami.

— To prawda, moje dziecko, ale i wiśnie i zboże można przed wróblami obronić, ale czy wiśnie i zboże cały rok służą wróblom za pożywienie?

— Nie, proszę Dobrodzieja, bo tylko w lecie.

— Tak, tylko w lecie, moje dziecko, a jednak wróbel cały rok żyje i na chwilę ludzkich mieszań nie opuszcza, czemuże się więc karmi?

— A kto go tam wie! odrzekł Janek, ale zawsze pilnuje stodoły.

— Bo zawsze znajdzie przy niej jakie ziarno, ma więc zniszczyć się, to lepiej że go wyszuka i pożywi się. Przez całą jednak wiosnę aż do twardej jesieni, tak jak wróbel, tak i wszystkie inne ptaki karmią się różnemi robakami i wówczas tak wielki z siebie przynoszą pożytek, że jedno ptasie gniazdo, chroni nieraz cały ogród lub

całe pole, od szkody przed różnem robactwem. Bo tylko zważ sobie moje dziecko: z pięciu jajek wylęga się pięcioro piskląt; każde pisklę aby żyło i rosło, potrzebuje dziennie przynajmniej 50 robaków, więc razem zjedzą ich przez dzień cały 250 sztuk. Karmienie piskląt trwa najmniej 30 dni, potrzeba zatem na wykarmienie jednego gniazdka, różnych robaków i gąsienic najmniej sztuk 7500.

— O la Boga! zawołał Janek chwytając się za głowę, aż tyle?

— Aż tyle, moje dziecko, odrzekł sędziwy Kapłan, rachunek wszystko najlepiej objaśnia. Zobaczmy teraz ile to owe siedm tysięcy pięćset sztuk szkody przynieść może każdemu gospodarstwu. Rachunek znowu nam to objaśni.

Janek z Wojtusiem wpatrzyli się ciekawie w Kapłana, a ten tak dalej mówił.

— Trzeba wam wiedzieć, moje dzieci, że wszystkie gąsienice nim się przemienią w skrzydlaty owad, niezmiernie są żarłoczne, i nie ma na świecie stworzenia, któreby tyle jedzenia co one potrzebowały. Ludzie co przez naukę dochodzą do różnych pożytecznych wiadomości, i potem je przez książki rozgłaszają światu, przekonali się,

że każda gąsienica zjada dziennie tyle pokarmu co sama zaważy. Jest to ogromna porcja, gdybys ty Janku był tak żarłoczny, to ważąc np. 60 funtów, musiałbys zjeść tyle funtów, kaszy, chleba, ziemniaków i innego pokarmu, żebyś mógł wyżyć przez dzień jeden. Na wyżywienie więc ciebie jednego, nie wystarczyłoby podobno całe gospodarstwo twego Ojca. Gąsienice jednak są tak żarłoczne, i niech zje jeden tylko kwiat, z którego wyrasta gruszka albo jabłko, to przez dni trzydzieści ubędzie na drzewie tyleż kwiatów. Że zaś pięcioro piskląt w gniazdku zjada przez czas karmienia 7500 gąsienic, więc wszystkie przez zniszczenie gniazda zostawione przy życiu, zjedzą przez dni 30, aż dwieście przeszło tysięcy jabłek i gruszek, czyli przeszło pięćset korcy tego smacznego i zdrowego owocu.

Chłopcy z zadziwieniem pokręcili głowami, a Wojtek rzekł:

— Tyle gruszek i jabłek, proszę Dobrodzieja, to nawet nie ma w naszej wsi całej, nawet z dworskim ogrodem.

— To też, moje dziecko, gąsienice nie żyją samym kwiatem gruszek i jabłek. Gdy go branknie zjadają kwiat wiśni, agrestu, porzeczek, ma-

lin, gdy tych za mało, rzucają się na warzywo, a nawet na zboże podgryzając korzenie. A niszczycieli tych jest takie mnóstwo, w tak wielkiej corocznie wylegają się obfitości, że gdyby wszystkie się wychowały, do połowy lata na drzewach w lasach i po wsiach nie zostałyby listka, na łąkach jednego ździebełka trawy, na polu jednego kłoska, a nawet jednej główki kapusty, jednej rzepki, buraka, brukwi, ziemniaka, a nawet jednego strączka na grochu. Od tego nieszczęścia broni nas ptastwo mniejsze wszelkiego gatunku, nawet wróble, których uważacie za wielkich szkodników, i tak je tępicie niemiłosiernie. Bóg w mądrości swój kazał ptastwu lęgnąć się w lasach, ogrodach, krzakach, w trawach i zbożu, żeby były ich stróżami, a wróbla pomieścił przy pomieszkaniach ludzkich, których one wernie pilnują, przynosząc gospodarzowi wielki z siebie pożytek, gdyż przy ścianach na śmietnikach zjadają to robactwo, któreby się do jego pomieszkania wcisnęło. Gdzie pusta chałupa, tam przy niej nie ma wróbla, a niech stanie byle kletka jaka, choćby na pustkowiu, zaraz przy niej zjawiają się wróble i świergoląc wesoło już jej nawet na chwilę nie odstępują. Opuszcza człowiek

siedzibę, i one szukają nowego gospodarza. Dobrze to ptaszki, powinniście je bardzo ochraniać.

— O! proszę Dobrodzieja, odezwał się Janek, na jesieni to wróble najtłustsze, jakby je kto małym pooblewał.

— A wiesz dla czego?

— A bo to nic nie robią tylko jedzą i jedzą, więc się tuczają jak wieprze w karmniku.

— To z Boskiego rozkazu, moje dziecko. Gdy zima przyjdzie, a z nią mrozy, śniegi, zadymki, to ptaki nie mając ani domów w którychby się ukryły, ani spizarni z żywnością, z głodu, z zimna poginęłyby w ciągu dnia jednego. Bóg więc ratując je od zguby, tak mądrze rozporządził, że jedne ptaki odlatują do cieplejszych krajów, a te co zostają na jesieni tuczają się, całe ich wnętrze pokrywa się tłuszczem niby kozuchem, i tem żyją i grzeją się w zimie, jeżeli śnieg wszystko pokryje, a od mrozu aż gonty na dachu trzaskają. Przez zimę też ptaki bardzo chudną, a na wiosnę z tej chudości aż pierze i pióra z nich oblatują, co nawet nazywa się wypierzaniem. W Prusach gospodarze, moje dziecko, co niegdyś tak jak my wróble uważali za swych nieprzyjaciół, przesładując ich podobnie, wyniszczyli wreszcie co do je-

dnego. Ucieszyło ich to gdy stada wróbli znikły we wsi, i rzekli sobie: Bogu dzięki, pozbyliśmy się tych niegodziwych szkodników! Przyszło lato, drzewa obsypały się kwiatem, zapowiadając piękny urodzaj, ale rzuciło się robactwo tak mnogie, że ludzie choć zbierali i zbierali, nic nie poradzili i robactwo zjadło wszystko i liście i kwiaty. Na drugi rok to samo się powtórzyło, drzewa zaczęły schnąć i brakło zupełnie owoców. Złe, powiedzieli sobie, trzeba radzić, ale jak? Robactwo zjadają ptaki, ale ich za mało.

Wtenczas to przypomnieli sobie o wróblach, co je ze szczeniem wyniszczyli, westchnęli z pożalowaniem na swoją nieuwagę i co przódzy zastawiali na nie sidła różne, łapali je potem w sieci w dalekich stronach; przywozili do siebie dla przyswojenia, sypali pożywienie i urządzali umyślnie miejsca na gniazda, żeby się jak najwięcej mnożyły. Zaraz się też wróble rozgospodarowały, przy nich osiedliło się i inne ptastwo śpiewające, ziemby, gile, czyże, szczygły, czeczotki, ma-kolągwy i t. d. śpiewało to wszystko, latało, piszczało i gwar był taki że aż uszy bolały, ale ogrody ocalały, drzewa w nich rozwinęły się, zakwitły i w jesieni tyle wydały owoców, że je na

sprzedają wywożono aż w dalekie strony. Od tego czasu wszędzie tam ptastwo w wielkim jest poszanowaniu, w lecie zawieszają im przyrzady z wypalanej gliny na gniazd zakładanie, w zimie wysypują okrucy z jądła domowego, a choć wróbel dorwie się gdzie wiśni, albo kłoska ze zbożem, to go zgonią, ale się na niego nie gniewają, powiadając: strzeże on naszego dobra, niechże i pokosztuje tego co pilnuje. Za jedną wisienkę lub ziarno zbożowe, tysiące ich ochroni od szkody, niech więc je połknie i niech mu to będzie na zdrowie.

Janek z Wojtkiem słów tych wysłuchali z wielką uwagą, a gdy Proboszcz umilkł, westchnęli, spojrzeli po sobie i Janek rzekł:

— To już ostatnią taką psotę zrobiłem, i więcej ani się dotknę ptasiego gniazda.

— Pocziwie z ciebie dziecko, mój Janku, odrzekł Proboszcz gładząc chłopczynę po buzi, kiedy słuchasz starszych. Cóż jednak zrobisz z tem gniazdkiem i jajczkami?

— A rzucę je w krzaki, odrzekł Janek i zamierzył się, ale go Kapłan wstrzymał za rękę, mówiąc:

— Nie, moje dziecko, zanieś je tam zkad wzięłeś, może Żoła je wyleże. Patrz, jak to wpró-

dy latała nad tobą, a teraz siedzi na gałęzi i smutnie przekręca głową.

Janek ucałowawszy ręce Kapłana, pobiegł w krzaki razem z Wojtkiem i przy jego pomocy, umieścił gniazdo w miejscu w którym je znalazł. Na drugi dzień pobiegł zobaczyć co się z niem stało, było puste, przechylone, a jajka potłuczone leżały na ziemi. Smutno się zrobiło chłopczynie, ale to tak smutno, że aż mu łzy zabłysły w oczach.

Tak stojącego i dumającego nad szkodą znowu zeszedł Proboszcz, a Janek opowiedziawszy mu swoje zmartwienie, rzekł w końcu:

— To, proszę Dobrodzieja, nie ze złości tak za ptakami biegałem, tylko siedzieć samemu przy chałupie nudzi się, więc z nudów dla oczów najlepsza rozrywka ptaki. Żeby można było z oczami gdzie indziej się obrócić, toby mi ptaki do myśli nawet nie przysły.

— To obróć je do książki, moje dziecko.

— A kiedy nie umiem czytać.

— To przychodź do mnie, dam ci elementarz, pokażę, a ty będziesz sobie powtarzał to czego cię nauczę.

Janek aż podrosł i na samą myśl że się nau-

czy czytania, zdawało mu się, iż z ramion wyrosły skrzydła, i na nich unosi się nad całą wsią jak orlik co go od ziemi w wysokości czasem okiem trudno dojrzeć.

Zaraz tego dnia nauka rozpoczęła się, i od-tąd Janka zawsze widywano z elementarzem siedzącego pod ścianą, i uczącego gromadkę dzieci tego, czego się sam nauczył. W takiej ciżbie elementarz prędko się podarł, na wielką prośbę Janka Rodzice kupili mu drugi, a choć wydali na niego dziesiątkę, zarobili jednak na spokojności we wsi, na całości drzew owocowych zwykle potrząsanych przed dojrzaniem, na całości płotów, kołków, strzech, i na zaoszczędzeniu odzienia, co je dzieciaki zbytkami nie niszczyli. Psy zaś wy-legiwały się wygodnie przed budynkami gospo-darskimi, koty przechadzały się bez obawy, a ptastwo świegoliło wesoło i zjadało robactwo z wielkim pożytkiem pól i ogrodów.

LIS i INDYK.

Blisko zagrody ziarno rozsypane,
Zbierało ptastwo po bratersku, zgodnie,

Aż lis elegant wystrojony modnie,
Przychodzi do nich; „ach dzieci kochane,
Dawno znajomość zabrać pragnę z wami,
Jam się przyjaźnił jeszcze z rodzicami.”
Na to mu indyk, nadąwszy korale
I roztoczywszy duży ogon szumnie:
„Idź precz, ty łotrze, nie przystępuj ku mnie,
Bo za twe oczy nie zaręczam wcale,
Ot mi dobrodziej! znajomości żąda,
Tak jak z tą kura, co z boku wygląda?”
Mój pan lis widząc, że został odkryty,
„W prawo, w tył” zrobił i poszedł jak zmyty.

Juljan Milkowski.



OPIEKA NAD PTAKAMI.

Kiedy u nas o ptaki nie wiele dbają i jedni łapią je w stadach na sprzedaż w miastach, a drudzy wybierają w gniazdach a nawet tłuką i niszczą jajeczka w nich znajdujące się, bez żadnego dla siebie pożytku, w Niemczech wszystko ptastwo niezmiernie szanują a nawet troskliwie się niem opiekują. Kiedy przyjdą wielkie mrozy, kiedy śnieg pokryje ziemię i zostawi wszystkie stworzenia bez okruszynki pożywienia, mieszkańcy przed swemi domami posypują pokarm dla biednych ptaszków, składający się z różnych okrucich, jakich tak nieraz wiele marnieje w domach, szczególnież zamożniejszych. Ptaszki nie są wybredne, wszystko jedzą co im ręka ludzka przysposobi, a w nagrodę tej opieki, gdy śniegi stopniawszy, pozwolą ziemi okrywać się w nadobną zieleń, one szczebiotem wesolym, zapełniają całe przestworze i rozbiegają się potem, aby ją bronić od szkód robactwa i owadów, które rozmnażając się bez przeszkody, mogłyby zniszczyć całą na ziemi roślinność, a później chwycić się nawet człowieka.

Kiedy ranek zabłyśnie, ptastwo zimową porą przybywa tam zaraz pod wszystkie okna, i póty świergoli litościwie, póty zalatuje to z tej to z owej strony, aż wreszcie wywabi do okna człowieka.

Otwiera lufcik, wyciąga rękę z talerzykiem i zawiesza go na gałęzi drzewa najbliższego. Jaka wtedy między ptastwem panuje wrzawa, jaki pisk, jakie świergolenie, to trzeba uszy zatykać. Wszystkie cisną się do ręki, siadają na talerzyku, spychają się, potrącają, dziobią i podjadłszy zasiadają na gzymsach, aby wygrzać się od słońca, poigrać z sobą, i doczekać się południa, a z nim nowego pożywienia. I tak trwa przez całą zimę, ale z pierwszym tchnieniem wiosny, ptastwo na świergoliwszy się jakby na podziękę, rusza w świat na własny swój chleb i choć mieszkań ludzkich trzyma się stale, ale nie naprzykrza się człowiekowi, nie zabiega pod okno z przypomnieniem, tylko wyspiewuje różne trele niby z radości, że służbą swą przy sadach, jak może tak się wywdzięcza za zimową opiekę.

Piękny ten zwyczaj, u nas w niektórych miejscach jest utrzymywany, ale w bardzo niewielu.

PASTUSZKOWIE W SZKODZIE.

W dzień świąteczny, kilku gospodarzy rolnych siedząc na błoniu wiejskiem, w cieniu drzew rozłożystych, rozmawiało z sobą o frasunkach swoich gospodarskich. Lipiec już do połowy dochodził, słońeczko dobrze przygrzewało a na niebieskiem sklepieniu nieba, nie widać było ani jednej chmurki, tylko gdzieniegdzie mały biały obłoczek wolno posuwający się od wschodu ku zachodowi. Dokoła panowała cisza, nie słyhać było ani turkotu wozów, ani psów szczekania, tylko czasem wrzasnęły gęsi na stawie, głuszac śpiew skowronków, płynących w górę jak czarne płateczki.

— Bogu dzięki, znaczy się na pogodę, odezwał się jeden z gospodarzy Paweł, a żniwa już za pasem, to robota rażno pójdzie.

— Daj Boże! daj Boże! odezwało się kilku innych—człowiek cały rok mozoli się, zabiega, stara się, nie dośpi, nie doje i czeka na żniwa, żeby szczęśliwie zebrać i znów na cały rok mieć kawałek chleba dla dziatka.

— Oj! prawda, prawda, odrzekł Paweł, a co zmartwienia, co obawy przez rok cały. Boi się

człek żeby zboże w polu nie wymokło, w zimie żeby nie wymarzło; przyjdzie lato, to człowieka martwi susza, zbytek deszczu, straszy czarna chmura gradem i ulewą, że człek i chwili nie ma spokojnej.

— Wszystko to prawda, odezwał się Ignacy, ale mój sąsiedzie, Bóg miłosierny, choć ześle w jednej rzeczy szkodę, to w innej wynadgrodzi, a wreszcie Boska rola, Boska wola, gdy grad stłucze, to ludzie poratują i człek się wyłata z biedy.

— Zapomnieliście sąsiedzie o różnem robactwie i zarazie, wtrącił Paweł, a Ignacy zaraz odrzekł:

— Oj! klęska to klęska, ale człek się tem przy najmniej pociesza, że spada nie z jego winy. Gorzej kiedy zły człowiek szkody w polu narobi, albo puści bydło i to w jednej chwili stratuje, na co człowiek cały rok pracował i cieszył się, że zbierze szczęśliwie. Wtedy zmartwienie wielkie, bo Bóg dał a złość ludzka zniszczyła.

— Oj! prawda, prawda, potwierdzili drudzy z westchnieniem, pójdźmy zobaczyć co tam robią nasi pastuszkowie, bo to z nimi zawsze wielkie zmartwienie.

Kiedy tak gospodarze rozmawiali, na pa-

stwisku pomiędzy połankami zboża ozimnego, gromadka dzieci wiejskich pasła bydło, strzegąc aby to w szkodę jaką nie weszło. A było czego pilnować, bo Bóg pięknie zarodził, kłoski były pełne i przychylone ku ziemi, obiecywały piękny plon byle im tylko do dojrzewania zupełnego nie przeszkadzano. Dzieci też oganiały jak mogły pilnując połanków, a jak zobaczyły bydłę spoglądające z łakomstwem na zboże, zaraz go pędziły do gromady. Bydło też raz i drugi biczem nastrożone, pasło się spokojnie razem, tylko podnosząc łbów i porykując jakby z żalu, że im bronią tego co tak pragną.

W tem mały Wojtuś do skrzypków wielki ochotnik, usiadł pod ścianą zboża i dalej na nich rzępolić, Kacperek zaczął podrygać, a gdy dzieci inne pobiegły w przeciwną stronę, uchwycił Marysię równą mu wiekiem, w chustce i z kwiatkami na głowie i dalej w taniec na bosaka. Marysia nie była od tego, położyła ręce na ramionach Kacperka, ten ujął ją pod łokcie i krzyknąwszy: hu! ha! puścił się w obroty jakby po najlepszej muzyce. Wojtuś ucieszony że został grajkiem, skrzywił głowę ku tańczącym i jak umiał tak ciągnął smyczkiem i przebierał palcami. Szedł więc



taniec żwawo i ochoczo, dzieci po drugiej stronie pastwiska przypatrywały się ciekawie, śmiały się gwarzyły, a tymczasem było zmiarkowawszy, że pastuszkowie nie dają na nie baczenia, bo na to ma rozumu aż za wiele, po jednym zaczęło się wkradać w połanek, ale nie w pobliżu tańczących, tylko w jego środek, tak że z po za ściany zboża widać było od uciechy tanecznej, jedynie grzbiet krowy co ostatnia weszła w szkodę. Wprawdzie dzieci z drugiej strony pastwiska widziały to, ale żadne nie ruszyło się do obrony, tylko krzyczały na Kacperka, wskazując na tratujące po zbożu bydłeta.

— To jego krowy, mówiły do siebie, cóż nam wtrącać się do obcego bydła, mamy my i ze swoim dosyć biedy. Kacperek nie domyślając się co te krzyki znaczą, a sądząc że mu tak do tańca ochoty dodają, przytupywał, pokrzykiwał, przychyłał głowy, czasem dośpiewał co Wojtuś nie dograł, a było przeganiało się po połanku. Krasa bodnęła siwuchę, czarna nastraszyła rogami białą, jedna poskoczyła na prawo, druga na lewo, ta popędziła na swobodniejsze miejsce, tamta zbierała same kłoski, wyrwała z korzeniem i uciekała, szukając spokoju do pożarcia co trzymała

w pysku, a inna wreszcie przebiegała od miejsca do miejsca, wszędzie jej było nie dobrze, i myślała, że znajdzie coś lepszego.

W tem z góry od pola ozwały się głosy z krzykiem i łajaniem. Tancerze przerwali zabawę i zobaczywszy było na połanku, dalej za niem z biczami, a Wojtuś dał nurka między zboże i przycupnął w bruzdzie między zagonami. Nie był on wprawdzie nic temu winien, bo najmłodszy to zasługiwał na wyrozumienie, ale gdzie mają drwa rąbać, to tam lecą wiory i najspokojniejszego utną dobrze po skórce; chciał się więc zasłonić na wszelki wypadek aż do uspokojenia.

Głosy owe łające wychodziły od gospodarzy, co po rozmowie dyrdakiem teraz biegli do osłony całorocznej swej pracy, w jednej chwili w niwecz obróconej. Paweł ujrawszy szkodę aż się złapał za głowę i o mało nie rozplakał.

— A to daliście mi chleba! zawołał. A nicponie i próżniaki! cały połanek wygląda teraz jak klepisko.

— To nie nasze bydło, odpowiedziały dzieci, tylko Kacperka i Marysi.

— A czy to ono po roli chodziło? zapytał Paweł. Jakie wy serce mieli patrzeć na tyle szko-

dy? A przecież to dar Boży, należy go szanować, i nie powinniście zważać czyje bydlę szkodę robi, tylko czy cudze, czy swoje, bronić i wygnać. A niepocziwe dzieci, tyle się człek napracował, cieszył, radował, że przy pomocy Boga zbierze się chleb z pola, ot i wszystko poszło na marność.

Dzieci stały w milczeniu, Kacperek z Marysią za niemi żeby nie być od przodu zaraz pod ręką, gospodarze obchodzili połanek obliczając szkodę, a Paweł siedział zafrasowany na miedzy i dusił łzy w sobie, co mu się gwałtem do oczu cisnęły.

Tymczasem Wojtuś zmiarkowawszy że już burza przeszła, wytknął głowę ze zboża i trzymając skrzypki w rękę, odezwał się:

— Tatusiu, nie frasujcie się, bo ja tylko grałem, ale tańczyć im nie kazałem.

— Toś ty im do tańca przygrywał! zawołał Paweł, i poskoczywszy ku chłopczynie wyrwał mu skrzypce, rzucił o ziemię, a Wojtusia podniósł w górę, przewrócił na kolanie i dalej sypać klapsy za klapsami. Chłopiec wrzeszczał całym gardłem, nie tyle z bólu co z przestachu, fajtał nogami jak opętany, wtenczas Kacperek wyskoczył z po za dzieci, i ująwszy Pawła za nogi, zawołał:

— Nie bijcie Wojtusia, bo on niewinny, mnie ukarżcie jak wasza wola, bo ja największy winowajca, a choćbyście mnie i zabili, to wołę jak patrzyć na karę Wojtusia, co do złego niczem się nie przyczynił.

Pawłowi zaraz opadły ręce, postawił Wojtusia na ziemi, i zwracając się do Kacperka, rzekł:

— Pocziwy dzieciuch jesteś, że moje niebożatko obroniłeś od kary. Chodź Wojtusiu i nie płacz, ale Ojciec twój stracił część swęj krwawęj pracy, to ze zmartwienia podniósł rękę na ciebie.... Nie skrzywdził cię jednak wiele, bo ojcowską rękę choć gniew podnosi do bicia, to żal i kochanie opuszcza ją, i ta spada z lekkością. Cóż Wojtusiu bardzo cię boli?

— Ej! Tatusiu, nawet wiele nie czułem, odrzekł Wojtuś, gorzej mnie boli wasze zmartwienie.

— Oj! moje dziecko kochane, zawołał Paweł, podnosząc Wojtusia z ziemi. Kiedy tak mówisz, to o wszystkim zapominam. Szkodę wróci praca, ale dobrego dziecka nie kupi za żadne pieniądze.

— Oj! prawda, prawda, potwierdzili gospodarze, ale równie szkoda szkoda, a to dla gospodarza wielki upadek, trzeba temu koniecznie zaradzić.

— Już ja myślałem o tem, odezwał się Ignacy, i tak sobie rozważyłem. Kacperek jak sam powiedział, największy w tem winowajca....

— Przebaczcie, przebaczcie, przerwał Kacperek obejmując na nowo nogi Pawła; jak podrosnę to wam odrobię szkodę, a teraz miejcie wyrozumienie, kiedy rozważę to sobie, to mi tak serce ścisnę, że radbym gdzie w świat uciec.... schować się pod ziemię, a nawet choćby zatracić.

I chłopczyna niedawno tak przytupujący w tańcu wesoło, zasłonił oczy i lży jak groch pociekły mu po twarzy.

Paweł milczał, ale podniósł chłopca od nóg swoich, pocałował w głowę i westchnął ciężko, bo szkoda zawsze szkodą pozostała.

— No, dzieci, odezwał się Ignacy, jeżeli przyrzekniecie nam, że będziecie pilniejszymi pastuszkami, że bronieć będziecie każdej szkody, czy waszem, czy nie waszem bydłem wyrządzanej, to może tej biedzie jako się zaradzi.

— Przyrzekamy! przyrzekamy! wrzasnęły dzieci, i dalejże się cisnąć do rąk i nóg gospodarzy, a ci je całowali i upominali jak mają paść bydło, żeby było dobrze.

Kiedy się wreszcie uspokoiły i stanęły w rzędzie jak żołnierze, Ignacy odezwał się:

— Moi sąsiedzi, nie wiem czy przystaniecie na moje rozsądzenie, ale ja tak umyśliłem. Według prawa, za Kacperka powinien ojciec odpowiadać, ale to byłoby za ciężko na niego, a my we wszystkim powinni się ratować i mieć dla siebie wyrozumienie. Więc oszacujmy szkodę, i całą gromadą złożmy się na jej zaspokojenie. Wszystkie nasze dzieci nieraz nam dokuczyły, wszyscy więc odpowiadajmy za nie....

— Zgoda! zgoda! zawołano gromadnie, a Paweł odrzekł:

— Bóg wam zapłać, sąsiedzi, pocziwość waszą nie zapomnę nigdy.

Tak się skończyła sprawa z pastuszkami.— Gromada zgodziła się na poradę Ignacego, Paweł nie stracił nic prawie, tylko Wojtusiowi kupił nowe skrzypki, bo dawne padając na ziemię, pękały przez całą długość. Grał też na nich coraz lepiej, dzieci na pastwisku tańczyły, ale gdy pary uwijały się w ochocie, inne dzieci rozstawione przy polankach, strzegły bydło żeby w szkodę nie poszło.—

WILK i KOT.

Wilk, obławą szczwany w lesie,
Drapnął w pole bez pamięci,
A gdy strach go oślepi niesie,
Gdy mu świat się w oczach kręci,
Az pod płoty wpadł wioskowe,
I zziajany, ledwie żywy,
Pośród octu i pokrzywy
Ukrył swą zbójcką głowę.
Czai się, tuli, drży cały jak w febrze,
Byłby pod ziemię zapadł się ochoczy!
Gdy w tem na płocie raptem kota z oczy,
Więc czułym głosem zażebrze:

— „O Maciusiu! złoty, luby!
Ratuj, ratuj mnie od zguby!
Słyszysz hałas ten w oddali,
Trzask harapów, trąby, krzyki,
Wściekły psiarni skowyk dziki?
Za mną się to wszystko wali!...
O mój królu! mój klejnocie!
Ratuj prędkiej! każda chwilka
Śmierć mi zbliża!“ Lament wilka
Wzruszył tkliwe serce kocie;
A więc, „chętnie!“ Maciuś woła:
Tylko powiedz, w sposób jaki?
A wilk na to: „znasz wieśniaki

Tego siola?

Jeśli jest w tój zgrai który,
Mniej od innych złój natury,
Proś go, niech mię schować raczy
Od tój psiarni i tych szczwaczy!“
— „Całem sercem! chodźże śmiało,
Tu bliźiutko, do Stefana.
To człek pocziw, jakich mało!
Wszystkim dobroć jego znana!“
— „Do Stefana? za nic w świecie!
Psu na budę dobroć taka!
Żem mu jeszcze w przeszłem lecie
Porwał nędznego prosiaka,
Co i tak by zdechl chudzina,
Dotąd za to mnie przeklina
I odgraża się zawzięty!“
— „No, to czekajże! Jacenty
Da ci schronę niezawodnie!“
— „Gdzie tam! wystaw sobie, proszę,
On mi liczy to za zbrodnię,
Żem mu zabrał lichę łoszę!
Taka to w nim czarna dusza!“
— „Biegnijmyż do Mateusza!
Tam niechybnie już wskóramy!“
— „I Mateusz taki samy!
I on zguby mojej pragnie
Za jakieś tam głupie jagnię,
Com je tropił przez noc całą,

A lękając, dając słowo,
Anim czuł, jak smakowało.
Wolę więc nałożyć głowę,
Niżli jego prosić o col!“
— „Ha! więc spieszyś do Macieja;
On i wrogom rad z pomocą,
Więc nie zwiedzie nas nadzieja!“
— „Co?! do Macieja! wilk wrzaśnie:
Otożes mi trafił właśnie!
To krwiożerca! zbój zażarty!
Toż on, ot już miesiąc czwarty,
Wciąż mnie tropi z samopałem,
Że mrąc z głodu z dziećmi, z żoną,
Szkapę jego ochwacną,
Z łaki w las zawierbowałem!
Taka to w nim złość zajadła!“
— „Ho! jak widzę, toś ty bracie
Wszystkim wlał za skórę sadła!
Rzecz kot;—i chcesz by dla cię,
Przemysliwał ktoś o schronie?
Hola wilczku! co nie, to nie!
Kmieć nasz poczciw, lecz nie głupi,
Biedy sobie sam nie kupi;
Żaden z nich ci nie pomoże,
Byś mu potem szkodził znów,
Katujże się sam nieboże,
I coś warzył, wypij zdrow!“

Adam Piug.

Dydak z upieczoną głową.

Do jednej z większych jadalni warszawskich, pewni Rodzicerzemieślnicy bardzo porządni ludzie, przyprowadzili syna swego pragnąc, aby się wyuczył kucharskiej sztuki i został kucharzem, do czego wielką okazywał ochotę.

— A czy ty chłopcze nie jesteś czasem łakomym? zapytał kucharz, bo to w kucharstwie choć smaczne rzeczy w rękę, ale na ząb ani rusz.

Dydak przełknął ślinę, bo gdzie spojrział wszystko mu ze smakiem wpadało do oczów, odrzekł jednak spiesźnie:

— Ej! proszę pana, przecież ja wiem, że w kucharstwie łakomym być nie można.

— No, to pamiętaj, odrzekł kucharz, oczami patrz, ale ręce trzymaj od ust z daleka. Co w kuchni to nie twoje, a to jedz tylko co ci dadzą.

Został więc Dydak uczniem kucharskim.— Przez kilka dni trzymał się dobrze; jadła nie brakowało i to smacznego i posilnego, głodnym więc nigdy nie był, ale po tygodniu zachciało mu się przysmaczków. Liznął więc troszkę konfitur, tu zdjął kozuszek ze śmietanki, tam podjadł śmieta-

ny lub podpił mleka, raz zabrał się do owoców, do soków rozmaitych, dosyć że coraz lepiej sobie pozwalał, tak że zaczęto zwracać na to uwagę. Podejrzenie padło zaraz na Dydaka, a gdy raz zjadł galarety malinowej i kucharz dostrzegł, jak ruszał ustami i miał resztki przysmaku na brodzie, Dydak, choć go wytargano za uszy, wyłajano i wykuksano, wyparł się wszystkiego, dowodząc, że jest niewinny jak baranek. Kucharz nie dał się jednak oszukać i postanowił dobrze go pilnować, polecając wszystkim w kuchni zwrócenie na łakomca wielkiej baczności. Wieczorem obsadzono kurczęta na rożnie, do polewania których wrzucono na patelnię świeżutkiego masła. Dydakowi aż się oczy zaiskrzyły, i jak tylko kucharz się odwrócił, porwał z niego kawał i schował w obszerną kucharską czapkę na głowie, z zamiarem wyjścia z kuchni i schowania masła do kuferka na chleb, który tam miał w zachowaniu. Łakomstwo to zaraz dostrzeżono, kucharz więc nie rzekł, tylko przysunął Dydaka lepiej do ognia i sam stanął przy nim na straży. Ogień był wielki, płomień buchał, masło więc w delikatnej czapce Dydaka zaczęło się topić, wypływać na czoło, na brwi, oczy, na nos i brodę, z brody ka-

pać na ziemię, a Dydak choć kręcił się i oblizywał, nie śmiał jednak puścić różna, bo kucharz pilnował. Stał więc biedak jak na rozpalonych węglach, w kuchni się wszyscy cichaczem uśmiechali, ale nic nie pomogło, stać trzeba było koniecznie.

— Cóż Dydasiu, dobrze się pieczesz? zapytał kucharz.

— A, dobrze się kurczęta pieką, odrzekł chłopiec.

— Nie o kurczęta się pytam, tylko o twoją głowę, bo jak widzę smarowania dla niej nie żałujesz, żeby się upiekła jak należy. Bardzo dobrze, będziesz dobrym kucharzem, ale pokażno jak to sobie urządziłeś?

I przy tych słowach kucharz zdjął czapkę z głowy Dydaka, i w tej chwili resztki masła zsunęły mu się po twarzy. W kuchni wszyscy rozśmiali się wielkim głosem, Dydak ze wstydu o mało nie zapłonął płomieniem, i odtąd nazywano go Dydakiem z upieczoną głową, a choć poprawił się, nazwa ta pozostała i podobno nie opuści go przez całe życie, bo każde złe, to ludzie zwykle bardzo długo pamiętają.

OD RZEMYCZKA DO KONICZKA.

Mateuszowie mieli dwóch chłopaczków, Walusia i Marcinka o rok od niego starszego, a choć oba byli jeszcze dziećmi, ale do szkody sprytu im nie brakło. Gdzie rzepa najsmaczniejsza, groch najrzęsiwszy, a gruszka lub jabłko najsoczystsze, to nikt tak dobrze tego nie wiedział jak oni. Nurkowali też ciągle pod płotami, po za ścianami, chyłkiem wysuwali się w pole, i jak myszy albo szczury wkradali się cichaczem wszędzie, gdzie tylko czuli że coś ukąszą albo się pożywią.

Nie lubiono ich we wsi, wytykano palcami, łajano, skarżono się przed rodzicami, ale Marcinek wypierał się wszystkiego, a Walus potakiwał.

— A czyście nas złapali? zapytywał zwykle w podobnych razach starszy, a młodszy powtarzał:

— Czyście nas złapali?

Raz znęcili się w groch kolonisty, pana Marka, który obchodząc polanek łatwo szkodę poznał. Pokiwał głową, nawzdychał się, i zaczął się przysiadłszy w bruździe. Nie długo w gąszczu coś szaszmerło, zaszeleściło i odezwały się ciche szep-

ty. Pan Marek czekał, żeby zwierzyna nie uciekła, nadstawił uszów i wyraźnie usłyszał jak mówiono tajemnie:

— Walusiu, posuwaj się na kolanach, a głowy nad groch nie wytykaj, żeby cię nie dojrano.

Drugi jakiś głos pomruknął i zaraz chrupać zaczęły gałązki; co z nich wyraźnie obrywano strączki. Pan Marek nie mogąc już wytrzymać, podniósł się nagle z ukrycia i krzyknawszy: a tuś mi szkodniku! z podniesionym kijem w górę, ruszył przez groch ku dzieciom. Oba chłopcy zerwali się i dalej w ucieczkę, grochowiny zawadzały im, płały się nogi, a tu pan Marek tuż, tuż! i kiedy już wydobywali się na ugor, nagle potknęli się, i Marcinkowi zleciał kapelusz z głowy, a Walus jak długi brzdęknał na ziemię. Pan Marek więc uchwycił i chłopca i kapelusz, i prosto poszedł ze zdobyczą do Wójta.

Ze skargi przyszło do sprawy, szkodę w grochu oszacowano i kazano Mateuszowi zapłacić. Skrobał się biedny ojciec, narzekał na złe dzieci, wdychał, łajał, ale nic nie pomogło, trzeba było wydobyć pieniądze i wyliczyć co do grosza według wydanego wyroku. Chłopcy przez dzień cały byli jak trusiątka, ale na drugi dzień po po-



łudniu wybrali się na marchew do sąsiedniego ogrodu, i znowu ich dojrzano; później na gruszki wyprawa także się im nie udała, dość że szkody jakoś się nie wiodły, a Mateusz choć stękał, ale płacił. Wreszcie na przykrzyła się mu bieda z tak niedobremi dziećmi, i Marcinka jako starszego oddał w służbę do brata, co był droźnikiem na stacyi kolei żelaznej, a Walusia zatrzymał przy sobie, grożąc, że jeżeli się nie poprawi, to go spęta jak konia, aby w szkody nie zachodził.

Chłopczyk nie mając podniety w starszym bracie, uspokoił się zupełnie, a choć czasem łakomstwo nęciło do grochu albo rzepy, odwracał oczy od pola i ogrodów, i zaraz myśli nie dobre uciekały mu z głowy.

Z Marcinkiem inaczej się działo; był starszy więc do złego bardziej się przyzwyczaił. Z początku jednak i on się poprawił, tak że przez jesień i zimę nic nie zbroił i stryj Paweł był bardzo z niego zadowolony. Gdy nadeszła wiosna a potem lato, pasał krowy stryja w lesie, a zobaczywszy że inni chłopcy zebrane jagody sprzedają jadącym koleją, i on też poszedł za ich przykładem. Zaczął więc mieć pieniądze a za nie różne przysmaki, pierniki, owoce, bułki i obwa-

rzanki, ale z zarobkiem tym tał się przed Stryjem, bo lękał się połajania za zostawianie bydła w lesie bez dozoru. Gdy brakło jagód, sprzedawał wodę szklankami podróżnym, zarobek jednak ten był bardzo mały, a przy dniu chłodnym czasem i grosza nie zyskał. Zaczął więc żebrać, prosić o grosz na kawałek chleba, ale podróżni jadący widząc chłopaka zdrowego, z łajaniem odpychali od siebie, naganając do pracy i służby. Porzucił więc żebranie, wałęsał się jednak zawsze przy nadchodzących pociągach, a zobaczywszy raz wypadającą chustkę u przechodzącej jakąś pani, podniósł ją tajemnie i sprzedał. Podobne jednak wypadki bardzo rzadko się zdarzają i są wielką niegodziwością, bo zgubionej rzeczy nigdy nie trzeba przywłaszczać i należy ją oddać albo właścicielowi, albo złożyć w urzędzie do ogłoszenia.

Nie znalazłszy więc drugiej chustki, wziął ją skrycie Stryjence, później porwał coś z kuchni, z sieni, z bielizny suszącej się na sznurze, i tak się do tych drobnych kradzieży zaprawił, że jak się tylko zdarzyła sposobność, nie ominął żadnej, i kradł co mógł i sprzedawał. Wszystko jednak ma swój koniec, a kradzież choć się ukrywa czas

jakiś, przychodzi chwila że wydać się musi i winowajca zostaje wykryty. Tak się stało i z Marcinkiem, złapano go raz, obito, wyszturchano, a Stryj widząc że sobie z nim nie da rady, nie chcąc Rodzicom przynieść zmartwienia, oddał Marcinka do krewniaka w Warszawie, aby się wprawiał przy nim na stacyi, przy przenoszeniu różnego towaru do przesyłki przygotowanego. Był już bowiem chłopakiem sporym, miał siły i zdrowie po temu, ale Marcinek próżniak, do pracy nieprzyzwyczajony, unikał jej starannie. Zamiast więc pracować, wałęsał się, zaprzyjaźnił się z podobnymi sobie urwisami, nauczył się od nich z przejeżdżających wozów ściągać węgle kamienne, drzewo, i zdobywcz tę sprzedawał na kupno wódki, piwa, kiełbasy i bułek. Zwykle podobne niegodziwości spełniali niezmiernie zrzęcznie, i gdy jeden odwoził furmana w pogoń za sobą, drudzy wybiegali z ukrycia i grabili co tylko mogli. Przechodzący łajali, policja ściagała, i Marcinek raz złapany odsiedział winę w kozie wraz z drugimi winowajcami.

Kiedy coś po tygodniu wrócił z niej, błądy, głodny i niewyspany, wszyscy wytykali go palcami i szeptali cichaczem:

— Wielki to urwis z tego chłopca, próżniak, ladaco, a choć młody w złem zahartowany jakby przeżył wiek cały.

Towarzysze, to jest tacy jak on próżniacy, powitali go z radością, że jednak pracować się nie chciało, a chleba nigdzie darmo nie rozdają, udało się mu raz wyjąć z kosza przechodzącej kucharki garnuszek z masłem, z kieszeni przechodnia chustkę do nosa, ze straganu porwać bochenek chleba, później wciskał się z towarzyszami wszędzie, gdzie tylko większa była ciżba ludzi, czatował z nimi wieczorami i w nocy i porywał wszystko co się dało, słowem został kieszonkowym złodziejem. Pomimo zręczności wielkiej Marcinka, złapano go jednak gdy jakieś pani ukradł woreczek, a że to po raz drugi się powtórzyło, więc areszt był dłuższy i chłopak wyszedł z niego wychudzony jak po jakiej wielkiej chorobie, że go zaledwie poznać można było.

W niegodziwości jednak swój nie poprawił się, niby to pracował jako wyrobnik przy kolei, ale to tylko był pozór, a kradzieżą wyłącznie się zajmował. W rok później, w kilku napadli kobietę wracającą z szynku z butelką piwa i z resztą z trzech rubli wydana. Działo się to pod same-

mi okopami, w porze wieczornej, a więc w takiej w której mało już kto chodzi po ulicy. Napadnięta, schwycona nagle przez trzech silnych chłopaków, tak wrzasnęła przeraźliwie, że choć natychmiast zatkali jej usta grożąc uduszeniem, policyanci usłyszeli jednak ten wrzask niezwykły, i podbiegłszy uchwycili znowu Marcinka na gorącym uczynku. Tą razą kara nie na areszcie się skończyła, ale na więzieniu, z którego Marcinek wyszedł wytrawnym już złodziejem i odprowadzony został do miejsca swego urodzenia.— W domu zobaczywszy go w łachmanach, zbiedzonego i dowiedziawszy się z papierów wraz z nim przysłanych, w jakiego się to ptaszka zamienił, Matka załamała ręce i lzy jak groch pociekły jej po twarzy, Ojciec posmutniał.

Waluś co już także wyrósł niezgorzdej, partrył na Marcinka jak na raroga, nie mogąc pojąć jak to można stać się tak wielkim nędzarzem. Przypomniał sobie jednak wszystkie z bratem tajemne wycieczki na ogrody i pola wiejskie, i nie mógł się dość nacieszyć, że usłuchawszy przestrogi rodzicielskiej, nie wyszedł na takiego jak on łotra. Wszystko to jednak mogło być naprawione, zwłaszcza że Marcinek zabrał się do pracy

z początku, a nawet zaczął oszczędzać i porzucił bałamutki. Przez zimę też oporządził się, wygłodził, rodzice się cieszyli że się upamiętał, ale z latem przyszły dłuższe dnie i cięższa praca, Marcinek zaczął stękać na mozół i skrycie narzekać, a że przy robocie więcej wystawał jak pracował, na najem więc brano go z musu i często zszedł mu dzień jeden i drugi bez żadnego zajęcia. Co więc zarobił to przejadł, gdy zaś brakło zarobku, ratował się nurkowaniem po ogrodach i podwórzach gospodarskich, łapiąc kury, gęsi i kaczki. Z początku zganiano szkody na jastrzębie i kuny albo tchórze, ale wprędce przekonano się, że tym szkodnikiem był Marcinek i postanowiono go przykładnie ukarać. Przeczuwszy to, na noc nie wrócił do domu i dopatrzwszy dobrego konia na pastwisku, uciekł na nim w świat gdzie oczy poniosą. Pieniądze ze sprzedaży konia prędko się rozeszły, chwycił więc później drugiego, potem trzeciego, wreszcie z podobnemi jak on złodziejami, zrobili wyprawę na parę koni jednego z gospodarzy wiejskich, co sobie sam ich wychodował i miał je zaprowadzić na jarmark do Skaryszewa.

Dzielne to były koniki, żwawe, wypasione,

gospodarz cieszył się spodziewanym zarobkiem za swe mozolne kilkoletnie starania, a nie przewidywał biedak, że źli ludzie już czychają na jego pracę, aby mu ją wydrzeć i w próżniactwie zmarnotrawić.

Wieczorem więc we trzech podsunęli się pod wioskę, a gdy nadszedł północzek i wszędzie od dawna pogasły światła, wyszli ze swoich kryjówek, jeden został na czatach, a Marcinek z drugim towarzyszem zwanym Sikorką, cichaczem wkradli się na podwórze, otworzyli do stajni i dalej kręcić się koło koników. Robota choć po nocy ale szła im składnie, zdjęli z koni uzdzenie, włożyli na nich uzdy i kiedy już je mieli wyprowadzić, nagle drzwi od stajni zamknęły się z wielkim rumotem, i dał się słyszeć głos:

— Złodzieje! złodzieje! kto w Boga wierzy niech spieszy na pomoc!

Marcinek z Sikorką struchleli, chcieli się ratować to tędy to owędy, ale nigdzie wyjścia, tylko kręcili się jak mysz w pułapce. Na dworze za ścianą, usłyszeli ruch, tupotanie biegnących, gwar mowy ludzkiej, a gdy otworzono drzwi, ujrzeni przed progiem stojącą gromadę włóścian w potężne kije uzbrojonych. Winowaj-

cy chcąc się ratować, z nożami w rękę rzucili się na stojących, ale w tej chwili spadły na nich silne uderzenia pałek, i oba przewrócili się na ziemię. Wkrótce też związani zaprowadzeni zostali do Wójta, od którego po spisaniu protokołu odesłano ich do sądu, i zamknięto w więzieniu.

Przestępstwo było ciężkie, bo i kradzież gwałtowna, i napaść z nożami na broniących własności od grabieży, kara więc równie musiała być srogą. Po przeprowadzeniu zatem całej sprawy dość długo trwającej, skazano ich na ciężkie więzienie z wielką pracą, a małą wygodą.

Marcinek skruszył się, głód więzienny skłonił go do rozpamiętywania, a potem do żalu choć już po niewczasie, zawsze jednak dowodzącego poprawy. Przed udaniem się na miejsce przeznaczenia, zażądał spowiedzi, po odbyciu której z wielką skruczą i płaczem, prosił o sprowadzenie Rodziców, aby przeprosiwszy ich za sprawione z własnej winy zmartwienie, mógł pożegnać się i ubłagać o błogosławieństwo na rozstanie się już zapewne bezpowrotne.

Smutne to było niezmiernie spotkanie. Marcinek w więziennem szarem ubraniu, w kajdanach na nogach, ujrzawszy Rodziców padł im do nóg,

i załkał tak serdecznym płaczem, że się nie mógł dźwignąć z podłogi.

— Wybaczcie.... wybaczcie, moi kochani Rodzice, odezwał się rozżalonym głosem. Żebyś był Ojcze za pierwsze szkody w sadach i w polu nie żałował na skórę moją kija, nie byłbym może wyszedł na ostatniego hultaja.

Ty Matko broniłaś mnie przed ojcowską ręką, a nie wiedziałaś, że tą litością gotowałaś kajdany na moje nogi.

— Przecież kara nie jedna cię spotkała, szepnęła Ojciec z boleścią, czyż miałem cię zabić?

— Szkoda Ojcze że tego nie zrobiłeś, odrzekł Marcinek. Ale stało się, nieszczęście sam na siebie ściągnąłem, wybacz mi więc Ojcze.... wybacz Matko i proście Boga za mną wielkim grzesznikiem, aby miał nade mną miłosierdzie. Ty zaś bracie, dodał zwracając się do Walka, jeżeli kiedy będziesz miał dzieci, nie pozwalaj im najmniejszej kradzieży, choćby garści słomy albo patyka z cudzego płota. Lepiej utnij im rękę co ją wyciągną po cudzą własność, jak żeby miały stać się do mnie podobnemi. Powiadaj im zawsze, że człowiek do wszystkiego może się przyzwyczać, a do kradzieży łatwiej jak do wszystkiego inne-

go. Niechże więc strzegą się téj niegodziwości, aby kiedyś tak jak ja nie rozpaczali. A rozpacz moja straszna.... z żalu zdaje mi się, że serce rozpada mi się w kawałki.... że je szarpią rozpalonymi kleszczami.... oh! Boże! Boże! litości nad grzesznikiem.... miłosierdzia.... miłosierdzia....

Przy ostatniem słowie Marcinek padł na ziemię; podniesiono go, trzeźwiono, oblewano wodą, przywołano wreszcie doktora, ale wszelki ratunek był daremny. Marcinek nie żył, na ziemi już leżało tylko ciało, a dusza poszła w krainy wieczności. Z żalu pękło mu serce.

Sprawdziło się więc przysłowie, że od rymyczka do koniczka, i do nieszczęścia na całe życie. Niechże Bóg broni każdego od podobnego upadku, wy dziatki moje kochane, starajcie się wszczepiać w siebie przekonanie, że co cudze to święte, czy grosz warte czy tysiące, a wtenczas choć chęć do tajemnego wzięcia czego pociągnie, zadrży wam ręka i twarz uderzy płomieniem.



Lis bez ogona.

Lis jeden podstarzały, z tych lisów już szczwanych,
Strasliwy kurożerca, bicz wszystkich królików,
Ostrożności zazwyczaj przez się zachowanych,
Zapomniał raz, i sunąc przez jeden z przesmyków,
Co prosto prowadziły do drobiu i bydła,
Nieszczęściem sam w żelazne pochwycił się sidła.
Ale tylko za ogon: więc szarpnął raz, drugi,
I przecież się z więzienia na wolność wybawił.
Jednak cóż ztąd, gdy taki puszysty i długi
Ogon swój nie bez bólu w żelazach zostawił;
Co się spojrzy za siebie, straszny wstyd go ima,
Że się mógł dać tak złapać i ogona nie ma.
A tu się właśnie zebrać miała lisia rada,
Zaczął więc przemyśliwać, co czynić wypada?
Po chwili aż podskoczył z radości i spieszy,
Do sejmującej w lesie swoich braci rzeszy.
Jak nigdy nic, zasiada, potem o głos prosi,
I następny swój pomysł pod rozwagę wnosi:
„Panowie! warto i nam iść postępu drogą,
Przedstawiam wam panowie odrzucić ogony,
Bo i na cóż ciężary te przydać się mogą?
Chyba na to, ażeby każdy był zblocony?
Wierzcie mi i przyjmijcie wniosek jednozgodnie,
A będzie tak ozdobnie, wygodnie i modnie!“
Jeden z lisów z wążawszy, co się tutaj święci,
Rzekł mu: niech też jegomość trochę się wykreści,

Wtedy damy odpowiedź. Nie bardzo się chciało,
Być posłusznym w tym razie, lecz cóż było robić?
Tu całe zgromadzenie śmiechem zahuczało,
I toż to by nas mogło, jak mówisz ozdobić?
Niech obyczaj nie moda panuje w tych stronach,
Zostańmy gdyśmy lisy, przy lisich ogonach,
A waść ze swoją modą, postępem, oświatą,
Gdyś przegrał sprawę swoją, dziś pokutuj za to.

Julian Miłkowski.

SZCZEROŚĆ.

Turgot minister króla francuzkiego Ludwika XVI, pewnego razu zwiedzał więzienie, z tajemnym zamiarem przedstawienia mniej winnych do łaski monarszjej. Obchodząc więźniów pytał się kolejną każdego o jego winę?

— Niewinnie siedzimy, odpowiadało zwykle, a dla usprawiedliwienia swego twierdzenia, powiadano, że skutkiem zemsty ludzkiej dostali się do więzienia, że powodem tego stała się niesprawiedliwość sędziów, niesumienność świadków, dziwny zbieg pozorów, namowa ludzka, słowem, że każdy z uwieczonych niewinnym był jak baranek i cierpiał najniesłuszniej.

Minister odpowiedzi wysłuchiwał cierpliwie, więźniowie cisnęli się do niego, jeden tylko stał zdala i milczał.

Był to mężczyzna około lat czterdziestu, dość przyjemnej powierzchowności. Minister przysunął się do niego i zapytał:

— Czy i ty równie niewinnym jesteś jak wszyscy?

Zapytany westchnął, spojrzął na Ministra i głosem boleśnym odezwał się w te słowa:

— Gdybym był niewinnym, panie Ministrze, pewnoby się tutaj nie znajdował. Pracowałem w fabryce wyrobów jedwabnych i powodziło mi się dobrze, zarobek był znaczny tak, że nie tylko żyć można było wygodnie, ale nawet robić oszczędności na lata późniejsze. Ale wdałem się w złe towarzystwo marnotrawców i utracyszów, hulali oni, i ja z nimi hulałem, zacząłem się w robocie opuszczać, klócić, sprzeczać, dokazywać, koniec końców nie mogąc sobie ze mną poradzić, wydano mnie z fabryki i zostałem z żoną i czworogiem dzieci bez chleba. Ogarnęła mnie rozpacz... gdybym był się szczerze chwycił pracy choć wyrobniczej, byłbym nie popadł w nieszczęście... ale będąc pracownikiem fabrycznym, wyrobnikiem

zostać uważałem sobie za ubliżenie. Wkrótce też co było w domu ze sprzętów poszło na życie, a gdy wreszcie sprzedałem ostatnie żony okrycie, ogarnęła mnie rozpacz... i na pustym placu napadłem przechodnia w celu obdarcia go z pieniędzy i zegarka z bogatym łańcuchem. Na krzyk napadniętego nadbiegła policja, schwycono mnie i skutkiem tego skazano na więzienie bardzo sprawiedliwie, bo cóżby się działo na świecie, gdyby każdy próżniak i marnotrawca, obdzierał drugiego co pracą i oszczędnością przychodzi do dobrobytu. Zbrodniarz każdy za swe przewinienie powinien być ukaranym, a ja stałem się zbrodniarzem.

— To prawda, odezwał się minister, i marszcząc brwi mówił dalej, wydziwić się też nie mogę, jak można było takiego zbrodniarza pomieścić pomiędzy ludźmi najniewinniejszemi, i niewinnie prześladowanemi, godnymi współczucia i poszanowania. Wynoś się więc ztąd czempredź, bo nie godzien jesteś znajdować się w towarzystwie tak porządných ludzi. Panie nadzorco, mówił dalej zwracając się do urzędnika, natychmiast wykreśl go z listy więźniów, niech wraca do domu. —

Słuchając tego więźniowie inni oniemieli.

— Co do was, mówił dalej minister, wypadek ten niech was nauczy, że najpewniejszą oznaką poprawy, jest żal szczyry, którego wam wszystkim życzę, a wtenczas grzesznikowi i Bóg przebacza i ludzie.

DOBRE DZIECI.

Wawrzyńcowa raniutko wychodząc z sierpem w pole do żniwa, w izbie zostawiła dwóch swych chłopaczków, z których młodszy Staś spał jeszcze na dobre, a starszy od niego Ignasz już jednym okiem spoglądał na Matkę.

— Ignasz, ogoń muchy ze Stasia, odezwała się Matka, bo mu dokuczają, i chłopczyzna rusza się na wszystkie strony.

Ignasz podrapał się w głowę, bo wolałby jeszcze snem się troszkę zabawić, ale otworzył i drugie oko i szmatką opędził z buzi braciszka, na przykrzony owad.

Wawrzyńcowa pokręciła się jeszcze trochę za porządkiem domowym, podgarnęła popiół na

kominie, wysunęła garnczek z barszczem, ukrajała dwa kawałki chleba, i wychodząc rzekła:

— Miejsze mój Ignasiu opiekę nad wszystkim, a pilnuj Stasia żeby sobie jakiejś biedy nie narobił.—

— Bądźcie spokojni, odrzekł Ignasz, dam ja tu radę wszystkiemu, ale czy wzięliście co z sobą na śniadanie?

— Wzięłam, moje dziecko, chleba....

— Jest przecie kawałek sera, przerwał Ignasz, to czemuż go nie weźmiecie?

— Chciałam go wam zostawić....

— My w domu, a wy w pracy to potrzebujecie lepszego posiłku.

Rzekłszy to Ignasz, poskoczył sam do skrzynki, wyjął z niej ser, oskrobał, odmuchał i przypomniawszy sobie jabłko, zdjął je z półki i podał Matce.

— Weźcie i to jabłuszko, rzekł do niej. W robocie to się wam pić zachce, a z wody moglibyście zachorować.

— A i tak wszystko mi dajesz, odezwała się Matka, a sobie to nic nie zostawisz?

— Albo to ja w robocie czy co? Weźcie Matko, weźcie, bo jakbyście nie wzięli, to ja nie miał-

bym spokoju, i co spojrzalbym na jabłko, to stanęlibyście mi w myśli, jak pragniecie wody, a tu i kropli jej nie ma.

Matka ucałowała Ignasia, pobłogosławiła, spojrziała na śpiącego Stasia i poszła w pole do roboty. Chłopaczek miał jeszcze wielką ochotę przyłożyć głowę do poduszki, ale przypomniał sobie zalecenie Matki i żeby sen odegnać, nalał wody na miskę, umył się, otarł, wycesał, i włożył na siebie przyodziewek. Potem ukląkł przed obrazkiem Matki Bożkiej, zmówił pobożnie pacierz, zamiótł izbę, śmiecie wyrzucił i zabrał się do obierania ziemniaków. Stasia jednak nigdy nie spuszczał z oczów, i jak tylko zobaczył muchy kręcące się nad jego głową, zaraz je oganiał żeby się nie przebudził. W tem weszła kura do izby, zatrzymała się w progu, spojrziała na kranjanki chleba i kwoknęła kilka razy jakby się dopominała poczęstunku. Ignas odłamał kawałek ośrodka i drobiąc go kurze, mówił:

— Jedz, moja Jarzębatko, znosisz nam jaja toś warta okrucza chleba.

W sionce zarechotał prosiaczek, Ignas wyniósł mu obierzyny z pomyjami w szafliczku.

— Jedz i ty, odezwał się chłopczyzna, jak uro-

śniesz to cię sprzedamy w mieście i Matka kupią sobie buty na zimę.

W tem w izbie zapłakał Staś, ale zobaczywszy wbiegającego Ignasia, uśmiechnął się zaraz i zapytał:

— Czy to Matusia już poszli do żniwa?

— Już dawno poszli, ale jest barszcz w garnku i chleb, to go zjemy na śniadanie. Wprzód jednak trzeba się umyć, uczesać, pacierz zmówić, i dopiero siądziemy do jedzenia.

Staś ochoczo wyskoczył z posłania, Ignas pomógł mu w porządku i w modlitwie, a gdy się pożywili, rzekł:

— Teraz zasuniemy izbę i pójdziemy do Matki do żniwa.

Staś aż się zaśmiał radośnie, i w koszulinie z gołą główką poszedł razem z Ignasem w pole.

Kiedy przechodzili około kępy różnego zieliska i krzaków, z po za nich pokazał się jakby człowiek w kapeluszu, okryty łachmanami. Staś przeląkł się i zatrzymał.

— A tam co takiego? zapytał z trwogą, jakby człowiek jaki, Ignasiu wróćmy się lepiej.

— Nie bój się, to strach na ptaki, żeby jęczmień nie dziobały, a ty przecie nie jesteś ptakiem.



— Ja wiem co nie jestem ptakiem, a jednak się boję.

— Poczekaj, poradzimy mu zaraz, odrzekł Ignaś, i dla uspokojenia Stasia, ujął go za rękę, podniósł kawałek kija, i potrząsając nim zawołał groźnie:

— Strachu! ani mi się rusz z miejsca, bo mam kij to cię przetrzępię; i zwracając się do Stasia dodał:—widzisz jak się nas zląkł, ani drgnie tylko stoi w miejscu jak przykuty.

Staś przyjrzał się baczniej, rozśmiał się, i bez obawy już żadnej razem z bratem przeszedł mimo stracha. Kiedy tak chłopczyzny wędrują, żniwarze w polu tymczasem siedli na śniadanie.

— Gdzieżeście waszych chłopaków podzieli? zapytała Walkowa, a Wawrzyńcowa odrzekła:

— W domu zostali, bo młodszy spał jeszcze.

— A nie lękaliście się zostawić ich samych?

— Starszy Ignaś, moja Walkowa, to taki opiekun choć mały, że nie trzeba już lepszego. Poradzi on w domu wszystkiemu jakbym ja sama była.

— Patrzajcie, a to dzieciuch pocciwy!

— O! i bardzo, moja Wałkowa, odrzekła Wawrzyńcowa i podniósłszy się po nad zboże, zerwała się spieszenie, bo ujrzała dzieci swoje idące drogą.

— Idą moje robaki, idą, zawołała.

— Matusiu, nasza kochana Matusiu, odezwał się Staś dyrdakiem spiesząc do Matki i rzucił się radośnie w jej objęcia.

Kiedy powitanie się skończyło, Ignaś rzekł:

— To niechże tu Staś zostanie, a ja pójdę Matko do domu, żeby wam obiad przygotować.

— Idź, moje dziecko, a obierz ziemniaki, przynieś wody i przyszykuj paliwa na komin.

— Niech was o to głowa nie boli, odrzekł Ignaś, już ja temu wszystkiemu zaradzę.

Ignaś w domu tylko chwilę zabawił i zabrawszy z niego co potrzeba, pobiegł do szewca Walentego co trzymał sad dworski w dzierżawie. Miał on syna Jasia równego wieku co Ignaś, a kochał obu bo i ci się bardzo z sobą lubili.

Siedział właśnie przed budą w ogrodzie zajęty robotą, szyjąc śpiewał pieśń nabożną, ale zaraz przerwał ujrawszy wchodzącego chłopca.

— Dobrze że przyszedłeś, rzekł, bo Jaś już się o ciebie dowiadywał.

W tem nadbiegł Jaś z małym pieskiem i uściskał się z Ignasiem.

— Dalej chłopcy do roboty, odezwał się Maj-

ster, a o gruszkach pamiętać, bo szkodników tyle co liści na drzewie.

Ignaś z budy wydobył mały węzełek, z niego trzewiki stare już dobrze podszarżane i zaraz zabrał się do dratwy i szydła, słuchając we wszystkim rady samego Majstra i Jasia zajętego również podobną naprawką. Chciał chłopczyzna Matce zrobić niespodziankę, i własnymi rękami wyrządzić trzewiki, aby je miała gotowe w niedzielę do kościoła.

W zamian za możność dopełnienia tego, przyrzekł Majstrowi różne posługi, a szczególniejsze dogładanie sadu od szkody, aby nie miał przerwy w robocie, a choć poczciwy pan Walenty chciał sam trzewiki naprawić, Ignaś jednak uprosił go aby tego nie robił.

— Ja sam chcę, panie Majstrze, dopełnić tego, bo choć pan Majster lepiej zrobi ode mnie, ale Matka bardziej się ucieszy gdy się dowiedzą, że naprawka z mojej wyszła ręki.

— Prawda, moje dziecko, prawda, odrzekł Szewc Walenty, bo Matce nie tyle znaczy naprawka co serce poczciwego dziecka. Rób więc sam, ale wprzód poducz się na różnych kawałkach.

Ignaś przez cały tydzień nic nie robił tylko

szyl, pruł, i znowu zszywał aby nabrać wprawy. W drugim tygodniu wziął się już na dobre do zamierzonej roboty, i właśnie w dzień Sobotni skończył ją. Nie była ona bardzo trudną, ale dla tak małego chłopca wiele znaczyła. Nie zrażał się jednak niczem, i gdy Majster zganiał, spruł, i znów szyl na nowo. Mimo tego, na najmniejszy szmer obiegali z Jasiem cały ogród, szkodników podkradających się ploszyli, a choć owoce leżały na ziemi, a chętką do nich brała, chłopcy pozbiierawszy, wiernie je przynosili do Majstra. Pan Walenty zawsze też zrobił im podarunek, a Ignas chował do węzełka dla Matki i Stasia. Kiedy się zmęczyli pracą, chłopcy zasiadali do książki, a Jaś umiejący już nie źle czytać, pokazywał Ignasiowi litery, i uczył go ich składania. Gdy się zbliżało południe, chłopcy rozniecali ogień i zajmowali się gotowaniem. Ignas zaś przystawiał swój garnuszek z barszczem i ziemniakami, aby Matka za przybyciem znalazła już gotowy posiłek. I tak zeszedł drugi tydzień, w Sobotę wieczorem trzewiki były gotowe, a że i jabłek kilka sztuk dostał, węzełek więc zrobił się dosyć pękaty. Pożegnawszy się z Majstrem i podziękowawszy za pomoc, Ignas pędem pobiegł do domu.

— Zgadnijcie Matusiu, zawołał wpadając do izby, co wam przyniosłem?

— Ho! ho! odrzekła Matka patrząc na spory węzełek, toś aż tyle jabłek dziś dostał?

— Jabłka to jeszcze mała rzecz, ale pomiędzy jabłkami, jest jeszcze coś innego co się wam bardzo przyda na jutro do kościoła. Patrzenie, oto trzewiki co je sam naprawiłem, a jak się podrapa to znów je wyłatał i będą jak nowe.

Matka ujrzawszy swoje trzewiki nie tylko zupełnie całe, ale i do lustru wyczyszczone, aż się rozplakała z radości, i Ignasia tak wycalowała, że Staś troszkę się zachmurzył, że to nie jego.

Na drugi dzień Wawrzyńcowa ubrana świętecznie, posłała podziękować Majstrowi za opiekę, a Jasiowi za przyjaźnienie się z jej synem.

— Oba nasze chłopaki, odezwał się Majster, pocziwie dzieci. Szczęśliwa Matka, szczęśliwy Ojciec, gdy się mogą podobnemi synami przed ludźmi pochwalić.

MŁODY ŻREBIEC.

Garnarcz wiózł na targ cztery garneczków fury,
I kruchy towar chroniąc należycie,
Gdy go z wysokości przyszło spuszczać góry,
Trzy wozy rzucił na szczycie,
A czwarty z którym innym sam przodował pieszo,
Ostrożnie, noga za nogą,
Jął sprowadzać stromą drogą,
Bo i po równej ludzie z garnkami nie spieszą.
Stary koń, doświadczony, posłuszny jak dziecię
Wszystkie swe skupiwszy siły,
Ciężki wóz tak uważnie, powściągał na grzbiecie,
Iż ledwie, ledwie koła się toczyły.
Patrząc na to z wierzchu wzgórze,
Żrebiec młody a ochoczy,
Tak się gniewa tak oburza,
Aż mu żarem płoną oczy.
Skóra drży, a z pod kopyta,
Twarda skała, w pył rozbita,
Pryska na wsze strony.
— „To mi rumak zachwalony!
(Rzy, rozdawszy groźnie chrapy,
I z pogardą trzęsąc grzywą),
Osobliwość! jako żywo,
Ja nędźniejszej nie znam szkapy!
Lezie jak raki!... Ha niedzara!
Oślisko, wywłoka stara!...

Ruszaj! wio—hol... Masz—że tobie!
Ot na kamień wpadł jak raz!
Trzeba było skrócić *k'sobie*...
Teraz *odstieb* póki czas!...
Znów to samo! trzęsie, miota,
Na ten, to na tamten bok!...
No, no! śliczna z nim robotą!
Bata wart za każdy krok.
Gdybyż choć pod górę, nocą,
A to z góry w biały dzień!
Sam wóz prze go siłą—mocą,
A on przed nim, istny pień!
Jak gramoli się obrzydł!
Patrzeć na to—złość i śmiech!...
Gnój ci zwozić, podłe bydło!
A bodajbyś lepij zdechł!
Czekaj no zawali—drogo!
Stary głupcze! ujrysz wraz,
Czem są młodzi i co mogą?
Ujrysz kto tu lepszy z nas?
Kto przodować wart w podróży?
Niechno da gospodarz znak,
Pomknę wnet, aż się zakurzy,
Zlecę z wozem, jakby ptak!
Otóż i nań kolej przeciel!
Więc wypręży pierś, kark wygnie,
I po płaskim góry grzbiecie,
Rażno, śmiało wóz swój dźwignie,
Jak przystoi na młodego.

Lecz zaledwie na pochyły
Stok się koła przewaliły,
A już same wartko biega,
Wóz na zrebca już nasiada,
Prze go, nagli, na leb spycha!
Furman woła: stój do licha!
Już za późno! trudna rada!
Krew w nim kipi, więc z kopyta
Rwie i pędzi, gdzie?—nie pyta,
A im dalej, a im niżéj,
Tem gwałtowniej i tem chyzéj,
Wóz się za nim w ślady wali!
Bez pamięci dalej, dalej,
Koń mój leci jak wiatr szparki,
I—buch w wądól razem z furą!
Bądźcie zdrowe moje garnki!
Górą konik! górą! górą!—

WDZIĘCZNOŚĆ I MIŁOSIERDZIE.

W Warszawie znajduje się przytułek dla biedaków wychodzących ze szpitali, którzy przez czas jakiś lepszą żywnością żywieni, nabrawszy sił, wracają do domu i przerwanej pracy. W roku 1871 w Styczniu, znajdował się jednocześnie mło-

dzieniec szesnastoletni i starzec blisko ośmdziesiąt lat mający wieku. Młodzieniec był dostatnio ubrany, starzec bardzo ubogo, a nawet butów nie miał na nogach.

— Kto jesteś chłopczyno? zapytał go starzec, trzymając nogi przy ciepłym piecu.

— Jestem z Łomżyńskiego, odpowiedział młodzieniec, Ojcowie moi mają własne gospodarstwo włościańskie, ale że nas dosyć jest dziatwy, więc umyśliłem zostać rzemieślnikiem. Przybyłem zatem do Warszawy przed dwoma tygodniami, ale zachorowałem i zamiast do terminu zawieziono mnie do szpitala. Teraz tu mnie przyprowadzono, mam jednak w Bogu nadzieję, że wkrótce wydobrzeję, i zaraz chwycę się pracy.

— Szczęśliwy jesteś, moje dziecko, odrzekł starzec, że w poczciwéj pracy znajdziesz dostatni kawałek chleba. Ja starzec, biedny, schorowany, i tą nadzieją pocieszyć się nie mogę, a na domiar mego nieszczęścia, przez długą chorobę prawie całoroczną, popadłem w taką nędzę, że nawet butów nie mam na nogach. Na dworze mróz... zimno... ani dachu... ani odzienia...

— A czy jegomość nie ma dzieci, albo powinowatych, co by poratowali? zapytał młodzieniec.

— Nikogo, wszyscy powymierali, jestem sam jeden. Niegdyś byłem nawet zamożny, miałem własną wioskę, ale nieszczęścia, klęski, źli ludzie, ze wszystkiego mnie wyzuli. Do pracy nie mam już sił, i sam nie wiem co zrobię, jak ten przytułek wypadnie mi opuścić.

Starzec zwiesił głowę i zadumał się boleśnie; młodzieniec spojrział na niego i żyły współczucia stanęły mu w oczach.

— To ja jegomości poradzę, rzekł po chwili. Jest tu kilku panów bardzo poczciwych w Warszawie, a nazwiska ich mam zapisane na karteczce pomiędzy rzeczami...

— To umiesz pisać? przerwał starzec.

— Umiem i pisać i czytać i rachunki różne, nauczyłem się tego od syna naszego dziedzica. Niech więc jegomość pójdzie do nich, a oni z pewnością poratują...

Starzec spojrział na swoje nogi obwinęte w stare brudne szmaty, młodzieniec zrozumiał to spojrzenie i zaraz dodał:

— O buty niech się jegomość nie turbuje; Ojciec mój poczciwy wyprawiając mnie w drogę, dał mi nowe buty, a używane jeszcze dobre zupełnie, mam na nogach. Dam je więc jegomości,

bo są moje własne na które sam zapracowałem, nowe zaś mam z Ojcowskięj pracy, więc ich darować nie mogę...

— Ależ, moje dziecko, przerwał starzec, i ty nie jesteś bogaczem, jakże więc...

— Nie jestem bogaczem, odezwał się młodzieniec, ale widzi jegomość, za naukę od syna dziedzica przyrzekłem sobie, że się komu wywdzięczę. Tu zdarzyła się mi do tego sposobność, niech więc jegomość nie uważa podarunku mego za jałmużnę, ale tylko za zrobienie tego co powinienem i do czego sam się przed Bogiem zobowiązałem.

Starzec ujęty taką poczciwością rozplakał się, młodzieniec dał zaraz buty biedakowi, a sam przywdział nowe. Co dalej się stało, niewiadomo. Zdarzenie zaś to jako prawdziwe, opisane zostało w numerze 15 Kurjera Codziennego z roku 1871, szkoda tylko że nie wymieniono w nim nazwiska ani starca ani młodzieńca, co umiał być i wdzięcznym i miłosiernym.

Niechże go Bóg w dalszym żywocie osłania swoją opieką.

KACZKI KLÓTNICE.

Bratowe kaczorowskie dwie plotkarki sławne,
 Niesnaski z sobą miały bardzo dawne.
 Jak tylko się na polu, czy stawie spotkały,
 Jedna drugiej przykremli słowy dokuczały.
 I zamiast strzedz kaczęta, chować je troskliwie,
 Czas rzecz drogą, trawiły w niepotrzebnym gniewie.
 Ze swój strony kaczusie żółte jak kanarki,
 Wzorem matek, na wodzie wiodły swe poswarki.
 „Tys złośnica grymasna, tys także nie święta!“
 I cóż z tego wynikło? Ot jastrząb spadł z góry,
 Pozjadał obie matki złośliwej natury,
 A z wody wymknął szczupak i zdusił kaczęta.

Julian Miłkowski.



SPIS RZECZY.

Do kochanych Dziełek.	Str.	1.
Modlitwa Pańska.	„	9.
Zbawiciel świata.	„	10.
Modlitwa za Rodziców.	„	35.
Moja Matka.	„	36.
Co nauka daje człowiekowi.	„	37.
Piosnka Oracza.	„	51.
Jak to Jaś został panem Janem.	„	53.
Szpak i ptaki.	„	63.
Jak to rozum nad głupstwem ma przewagę.	„	64.
Lis filut.	„	66.
Zła zabawka.	„	68.
Lis i Indyk.	„	80.
Opieka nad ptakami.	„	82.
Pastuszkowie w szkodzie.	„	84.
Wilk i kot.	„	94.
Dydak z upieczoną głową.	„	97.
Od rzemyczka do koniczka.	„	100.
Lis bez ogona.	„	114.
Szczerość.	„	115.
Dobre Dzieci.	„	118.
Młody Żrebiec.	„	127.
Wdzięczność i miłosierdzie.	„	137.
Kaczki klótnice.	„	134.







2005767

205